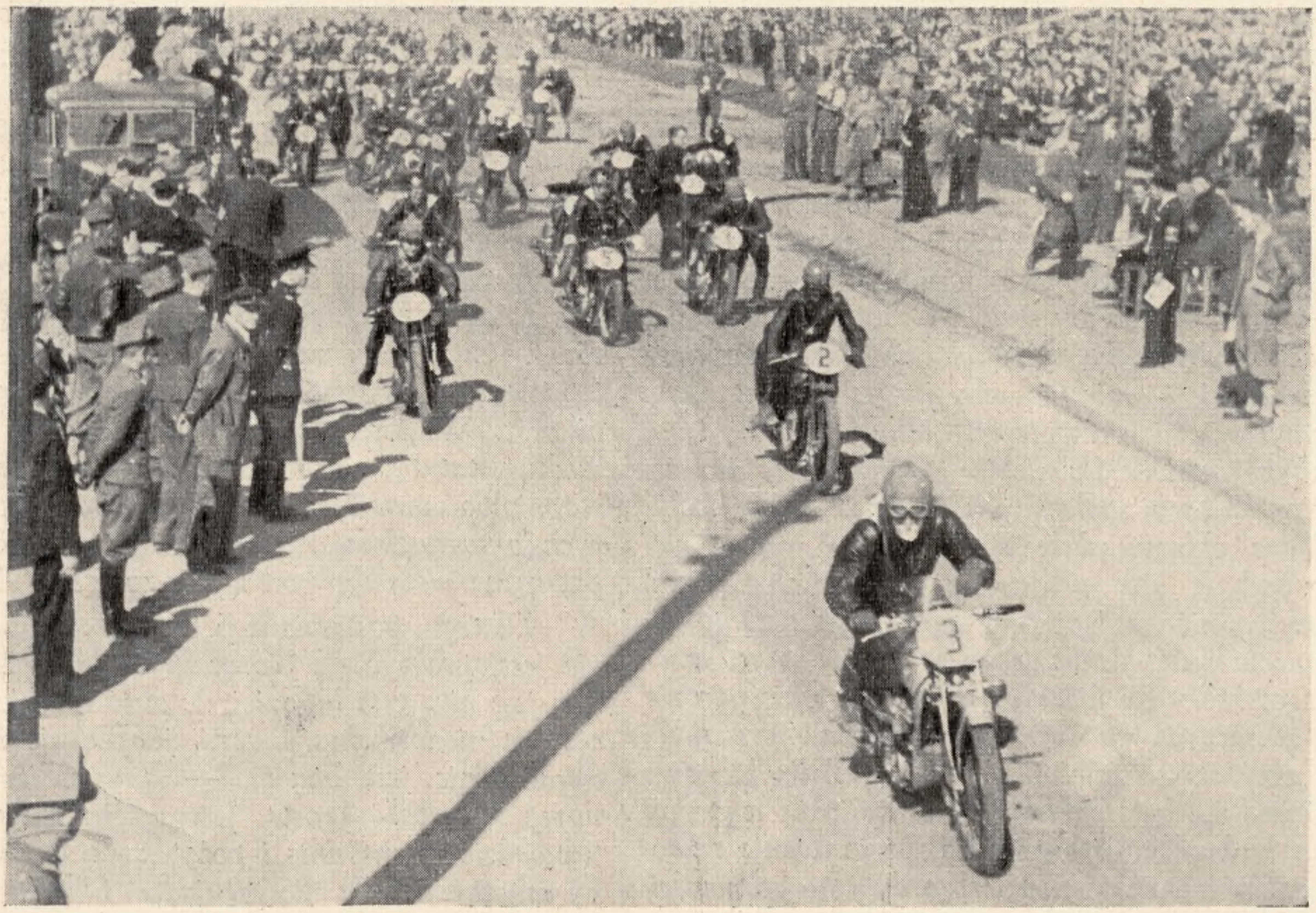
28 IX 38 CENA 25 GR

# SPORT POLSKI

ROK II TYGODNIK Nr 39

## MOTOCYKLOWE „GRAND PRIX" POLSKI





# ZDROWIE CZY KASA?

Odpowiedź na pytanie, zawarte w tytule, wydaje się oczywista. Jednak kwestia jest bardziej zawiła, niżby się na pozór wydawało. Przynajmniej, jeśli chodzi o praktykę, bo — już tak jakoś jest — rzeczy w teorii bardzo proste komplikują się, gdy przechodzimy do oceny możliwości realizacyjnych.

Czy kluby sportowe, czy organizacje, stawiające sobie za cel rozwój wychowania fizycznego — kierować się winny myślą o tym, by członkowie ich odnieśli przy uprawianiu jak największą korzyść na zdrowiu i pod tym kątem widzenia układać swój program?

Wątpliwości najmniejszych tu być nie może. Po to właśnie, po to jedynie kluby te i stowarzyszenia istnieją, by, biorąc udział w organizowanych przez nie ćwiczeniach i zawodach, członkowie ich mogli osiągać jak najwyższy poziom sprawności cielesnej i zdrowia. Gdyby stawiały sobie inne zadania, a nawet gdyby tylko tych właśnie zadań nie spełniały należycie — nie wolnoby im się było nazywać stowarzyszeniami krzewiącymi kulturę fizyczną i korzystać z przywilejów, jakie przynależność do tej grupy organizacyj społecznych im daje. Okłamywałyby władze, okłamywałyby społeczeństwo, okłamywałyby młodych ludzi, z ufnością oddających się pod ich przewodnictwo i opiekę! Nie ma zresztą w całym świecie klubu, działającego na terenie sportu amatorskiego, który by nie wypisał na pierwszej stronie swego statutu, iż ma służyć racjonalnemu rozwojowi fizycznemu swych członków, zapewniać im fachową i sumienną opiekę trenerską i stałą kontrolę lekarską; nie ma klubu, który by stawiał rozgrywanie zawodów, walkę o mistrzostwa i rekordy jako cel właściwy, a nie jako środek.

W praktyce, wszyscy wiemy, jest inaczej. Nowowstępującego członka „bada się" nie w ten sposób, by ustalić, co mu do wszechstronnego cielesnego rozwoju brakuje, jakie ćwiczenia przyniosą mu korzyść, a z punktu widzenia przydatności jego dla klubu, jako dostarczyciela sukcesów, dostarczyciela utęsknionych „punktów", z punktu widzenia możliwości wykorzystania jego dla klubu. Stąd, często zupełnie nieprzygotowanego pcha się w wir ostrej rywalizacji sportowej, przymusza do nadmiernych dlań wysiłków, do ustawicznych startów. Rozbudza się w nim celowo przesadne ambicje, dopinguje się chytrze, wyzyskując przywiązanie do klubu, dla którego należy wszystko poświęcić. Młodzi ludzie, im bardziej są wartościowi, tym łatwiej idą na lep — tym skorsi są do ofiarności i tym krócej się namyślają, gdy chodzi o złożenie na ołtarzu „interesów" klubu swych sił fizycznych i moralnych, swego fizycznego i moralnego zdrowia. Im bardziej są rycerscy, tym prędzej dają się wyzyskiwać dla „interesu" klubu. A chodzi prawie zawsze o interes finansowy. Bo rekordy i mistrzostwa służą nie tylko po to, by zapełnić pucharami i proporcami szafę w kancelarii zarządu, a po to — przede wszystkim — by organizowane przez kluby imprezy ściągały większą ilość ciekawskich, by zwiększyły się wpływy kasowe.

Jest tajemnicą poliszynela, że składki członkowskie płacą tylko zawodnicy, nie przynoszący „punktów". Ci, którzy strzelają gole, zdobywają medale i puchary — nie tylko nic nie płacą, lecz wręcz na odwrót. W ten sposób, stowarzyszenia o celach, według statutu, wychowawczych — przeistaczają się stopniowo coraz bardziej w spółki handlowe, w których o wszystkim decydują względy kasowe, które patrzą na wszystko pod kątem widzenia dochodu.

Dlatego, postawione przez nas w tytule pytanie nie jest, praktycznie biorąc, pytaniem retorycznym. Nie jest nim tym bardziej, że stwierdzenie, iż sytuacja jest nienormalna, kwestii jeszcze nie rozwiązuje. Sprawa nie jest bowiem — uprzedzaliśmy już na wstępie — taka prosta. Jest rzeczą jasną, iż chcąc prowadzić intensywną i pożyteczną działalność, kluby muszą mieć na nią pieniądze. Składki członkowskie nie wystarczą, a oglądać się ciągle na pomoc czynników rządowych też nie sposób; władze państwowe pomagają i powinny pomagać inicjatywie społecznej, lecz nie mogą i nie powinny organizacyj społecznych mieć na całkowitym swoim utrzymaniu. Muszą one same zdobywać środki na życie. Lecz jak? Jeśli chodzi o stowarzyszenie w. f. i sportowe, to jedynym źródłem są urządzane przez nie imprezy. Obracamy się więc, zdawałoby się, w błędnym kole: by zdobyć pieniądze na pracę wszerz, na pracę nad ugruntowaniem zdrowia członków, kluby muszą urzą-

*dzać i brać udział w przeróżnych zawodach; urządzając zawody — siłą rzeczy przesuwają ciężar swych zainteresowań na mistrzostwa i rekordy, na rozwój wzwyż, dbają coraz bardziej o posiadanie i utrzymanie przy sobie „asów", kosztem szarej masy przeciętnych członków, nie nadających się do roli primadonn.*

*Jak z tego wybrnąć? Zrezygnować z „wyścigu zbrojeń" — zlikwidować „stajnię" wyścigową i zredukować program do „10 minut dla zdrowia"? Lecz przecież praca wszerz, która jest par excellence pracą dla zdrowia, i dążenie wzwyż, dążenie do zwycięstw i rekordów, zazębiają się i uzupełniają wzajemnie i służą jedne drugiemu! Bez podniety, jaką jest współzawodnictwo — każda organizacja prędzej czy później dotknięta zostanie bezwładem i uwiądem. Więc?*

*Więc trzeba życie wewnętrzne klubu zorganizować tak, by celami głównymi, celami zasadniczymi były zawsze siła i zdrowie członków, by klub zawsze służył właściwie zrozumianemu interesowi członków, by zaś jednym ze środków, do spełnienia zadania służących, były imprezy dochodowe.*

*Niech pęd wzwyż, niech zdrowa ambicja bardziej uzdolnionych służy ogółowi członków! Niech sięgają po wawrzyny ci, kogo na to stać, niech ściągają na trybuny publiczność, gotową podziwiać ich wyczyny. Lecz niech zawsze pamiętają, a jeśli trzeba, niech zarząd klubu pamięta za nich, że i tu rekord powinien pozostać tylko środkiem i że wpływ kasowy winien pozostać okolicznością towarzyszącą, a nie — zasadniczą i centralną.*

*Tylko oszczędzając można zebrać duże kapitały. Tylko oszczędzając siły swych członków, tylko troszcząc się zapobiegliwie o ich zdrowie, wychowa sobie klub zawodników, występy których pozwolą suto napełnić kasę...*

*Dlatego na zapytanie: o zdrowie chodzi czy o kasę? — odpowiemy śmiało, że klub, który będzie dbał o zdrowie, o maksimum zdrowia i sprawności, który więc będzie stopniowo i rozważnie, planowo i konsekwentnie, cierpliwie i wytrwale prowadzić swoich członków ku coraz lepszym wynikom — nie będzie potrzebował się martwić o kasę. Na odwrót, w ciągłej gorączce i ciągłej obawie będzie taki, który dla doraźnych efektów będzie marnował siły i zdrowie najbardziej obiecujących zawodników, gdyż każdy deficyt na zdrowiu pociąga za sobą nieuniknienie — deficyt w kasie!*

*W. JUNOSZA.*



# SZCZĘŚLIWY REMIS

W obecności 20 tysięcy widzów odbył się na stadionie Wojska Polskiego mecz piłki nożnej Polska—Jugosławia.

Spotkania footbalistów naszych z Jugosłowianami mają swoją tradycję. Są zawsze prowadzone z obu stron z największą wolą zwycięstwa i równocześnie najbardziej fair; czyli — w atmosferze par excellence sportowej.

Szczególną zaciętością odznaczały się ostatnie boje, w których chodziło o specjalnie dużą stawkę: udział w finałowych spotkaniach o mistrzostwo świata. Jak wiadomo, wygraliśmy wtedy na swoim terenie 4 : 0, podczas gdy mecz rewanżowy w Jugosławii przegraliśmy 0 : 1.

Spotkanie niedzielne miało więc, w oczach świata piłkarskiego, rozstrzygnąć o wyższości.

Dało ono **wynik remisowy 4 : 4,** stawiając obie drużyny na tym samym poziomie.

Wyrok losu był **najzupełniej słuszny.** Nikomu nie należał się punkt przewagi. Musimy wprawdzie przyznać, że wzięta jako całość, drużyna gości górowała techniką podań, a przede wszystkim kondycją biegową, lecz z drugiej strony Polacy okazali się bezwzględnie **lepszymi realizatorami:** byli skorsi do strzału i bardziej w tym dziale niebezpieczni.

Sam wynik 4 : 4 wskazuje, że gra musiała być **ożywiona.** Istotnie, widzowie tego meczu nie mogą się skarżyć na brak emocji; sytuacje zmieniały się jak w kalejdoskopie, piłka wędrowała po całym polu z błyskawiczną wprost szybkością i nieraz zdawało się, że w ciągu jednej tylko minuty obaj bramkarze musieli interweniować po dwa razy! Poza tym — rachunek punktowy kazał przechodzić fanatykom z obu obozów przez czyściec i piekło. Po pierwszej bramce, strzelonej przez Polaków, widownia się rozgrzała. Gdy Polska prowadziła 2 : 0, twarze rozjaśnił uśmiech pogodnej pewności; usta zachmurzyły się, gdy padła pierwsza bramka dla gości, a kiedy Jugosłowianie wyrównali 2 : 2, serca napełniły się trwogą, lecz nie: oto padła trzecia bramka dla Polski: sursum corda! Wnet jednak zawzięci przeciwnicy znów wyrównują: 3 : 3. I następuje moment tragiczny: wspaniałym strzałem środkowy Wölfl pakuje piłkę do siatki Madejskiego! Jugosławia prowadzi 4 : 3, a koniec meczu blisko.

Nie darowano rzeszom entuzjastów żadnej udręki. Piłka wciąż wędruje pod polską bramkę... i wciąż powraca pod bramkę świetnego Glazera; co chwila grozi 5 : 3, co chwila błyska nadzieja wyrównania. Nadzieja się wreszcie ziściła: zamieszanie pod bramką gości, piłka jest w posiadaniu kolejno Piontka, Wostala i Wilimowskiego, wreszcie grzęźnie w siatce. 4 : 4. Zostało 5 minut gry, lecz wszyscy jakby się umówili: niech tak zostanie! Szalone dotąd tempo spada do zera, publiczność i gracze wyczekują z utęsknieniem i z niepokojem końcowego gwizdka. Rozlega się wreszcie... Remis.

Jak już zaznaczyliśmy, drużyna gości, wzięta jako całość, była bezwzględnie **lepsza technicznie, bardziej zgrana, a ponadto sprawniejsza biegowo.** Każdy niemal pojedynek sprinterski kończył się na korzyść Jugosłowian. Dlatego uzyskany remis każdy „spec“, każdy fachowiec od spraw piłkarskich uznać musi za „szczęśliwy“ dla Polaków.

Nie znaczy to wszakże, by był „niezasłużony“. Oprócz bowiem walorów technicznych wchodzą w grę inne wartości. Nie sposób powiedzieć, by Jugosłowianie nie okazali dostatecznej woli zwycięstwa; wolno wszakże twierdzić, że Polacy **wykazali więcej nerwu walki,** zawziętości, więcej kawalerskiej fantazji. Dlatego właśnie w sytuacjach podbramkowych mieli więcej powodzenia.

Zachodzi teraz pytanie: czy występ warszawski zmazał przykre wrażenie Kamienicy? Czy był dla drużyny — i dla poszczególnych jej członków — rehabilitacją?

I tak, i nie. Zespół okazał bezwzględnie „morale“ godne reprezentacji, natomiast nie wykazał odpowiedniej formy technicznej i fizycznej, a przede wszystkim należytego **zgrania.**

Madejski w bramce nie dorównywał wprawdzie, jeśli chodzi o zewnętrzną efektowność, Glazerowi — zresztą jednemu z najlepszych gool-keeperów doby obecnej — lecz pod względem efektywnej pracy chyba mu nie ustępował.

Para Gałecki—Szczepaniak jak zawsze pewna i pracowita, ale... zaczyna się starzeć. Należy zacząć myśleć o następcach. Obrońcy jugosłowiańscy wykazywali o wiele więcej żywotności i obrotności.

Linia pomocy spisała się przeciętnie. Piec II na początku czuł się zupełnie nieswojo i pętał się bezpożytecznie po boisku, z biegiem czasu wszakże nabierał pewności, a w końcu meczu stał się jednym z najlepszych w drużynie. Gdy się odpowiednio otrzaska, **może zająć stałe miejsce w reprezentacji.** Dytko robił swoje, bez efektownych zagrań i bez krzyczących błędów. Ujdzie w tłoku. Natomiast Góra był **wyraźnie słaby.** Za długo przytrzymywał piłkę, za dużo wózkował, za dużo faulował. Robił wrażenie gracza, który stracił formę a chce bez powodzenia ratować swą reputację trickami. Pomoc jugosłowiańska była bezsprzecznie lepsza, szczególnie Kokotowic.

W ataku polskim jeden tylko był jasny punkt: Piontek. **Należą mu się gorące słowa uznania** i słowa pochwały. Pracował dosłownie za pięciu, był wszędzie, pchał się wszędzie. Nic też dziwnego, że w ostatnich minutach ledwie chodził. W tym wypadku to był nie brak kondycji, a skutek ofiarności.

Piec I miał kilka niezłych zagrań, na ogół jednak kazał myśleć, że... przydałby się nam dobry prawoskrzydłowy.

Na środku ataku początkowo grał Korbas, a po jego kontuzji — Wostal. Pierwszy grał za krótko, by można o nim wiele powiedzieć; wydaje się wszakże, że jest najwyżej dobrym graczem, ale nie **kierownikiem** ataku. Wostal miał dużo dobrych chęci, lecz to wszystko. I na tej pozycji trzeba „nowego człowieka“.



Piękna główka.



Glazer robinsonuje.

O lewym skrzydle przykro jest pisać. **Takiego kiepskiego lewego skrzydła nie było, odkąd istnieje reprezentacja Polski.** Nie łudźmy się i nie dajmy się otumanić dźwiękiem nazwisk. Zarówno Wodarz, jak i Wilimowski są cieniem tego, czym byli przed rokiem i dwoma laty. Ta tylko jest pomiędzy nimi różnica, że Wodarz chce a już nie może, a Wilimowski jeszcze może, ale już nie chce. Rezultat wszakże jest ten sam: przykry widok jaskrawej impotencji. Bez wątpienia, każda para z byle drużyny klasy A wypadła by lepiej. Okoliczność, że Wilimowski strzelił dwie bramki, nie zmienia sytuacji: pozycje były wypracowane przez innych, a trudno dopuścić, by piłkarz pewnej klasy nie potrafił nawet przytomnie kopnąć piłki, która się znalazła przed jego butem w odległości trzech metrów od bramki...

Jaśniejszy obraz dawał atak jugosłowiański — dwóch klasowych skrzydłowych: Sipos i Wölker, niebezpieczny, obrotny Wölfl na środku; tylko łącznicy przeciętni... ale o niebo pożyteczniejsi dla drużyny od takiego Wilimowskiego.

Ogólne wrażenie: **obie drużyny są gorsze, niż rok temu,** a w polskiej przynajmniej trzy pozycje należy obsadzić nowymi ludźmi możliwie od zaraz.

Sędzia Eklind (Szwecja) bardzo uważny, bardzo skrupulatny, bardzo sprawiedliwy. Trudno mu postawić jakikolwiek zarzut. Jednakże ciągłe przerywanie gry gwizdkami, podyktowanymi nie tyle istotną potrzebą, ile pedantyczną drobiazgowością — odbija się ujemnie na jej ogólnym charakterze.

Publiczność zachowywała się wyjątkowo przyzwoicie. Natomiast było faktem **wręcz nieprzyzwoitym,** że gdy uległ kontuzji Korbas, sanitariusze z noszami zjawili się po dobrych 5—6 minutach, kiedy **sędzia zawodów zdążył już własnoręcznie przynieść ławkę.**

O tym, że zegar boiskowy zastrajkował po 17 minutach, nie warto było by pisać, gdyby nie fakt, iż dobra organizacja polega między innymi na docenianiu znaczenia drobnych szczegółów.

# ZASŁUŻONA PORAŻKA

Podczas gdy w Warszawie Polska I ciężko zmagała się z Jugosławią, w Rydze odbywał się mecz reprezentacji łotewskiej z Polską II.

Spotkanie to zakończyło się **całkowicie zasłużonym zwycięstwem Łotyszów.** Przebieg meczu wykazał, iż football łotewski czyni stałe postępy, że poza tym gracze doskonale są prowadzeni, gdyż zdają sobie dokładnie sprawę z roli każdego członu zespołu i przyuczeni są do planowego współdziałania.

Na tle ambitnej, pracowitej i zdecydowanej drużyny łotewskiej Polska II wypadła **bardzo niekorzystnie.** Atak był nieistniejący, pomoc marna; cały ciężar spadł na obrońców i bramkarza. Że spotkanie nie zakończyło się pogromem — to ich wyłączna zasługa.

Przegrana 1 : 2 — przy czym decydująca bramka padła na 3 minuty przed końcem — nie jest kompromitacją. Wolno wszakże było oczekiwać od drużyny polskiej czegoś więcej, niż rozpaczliwego oporu tyłów.

Szerfke na środku napadu — był prawdziwym „śpiącym rycerzem" z bajki. Zjawiał się zawsze — po wszystkim. Habowski nigdy nie zdecydował się ruszyć sam po piłkę i dlatego był przeważnie biernym widzem. Artur natomiast zapominał, że oprócz niego są jeszcze inni gracze na boisku. Trochę lepiej od wymienionego spisywał się Łyko, a o tyle o ile zadowolił jedynie Gendera.

W pomocy najlepszym był Danielak. Sumara i Sobkowiak byli za słabi fizycznie.

Trio obronne Mrugała, Twórz i Giemza zdało egzamin w zupełności. Przepojone duchem poświęcenia, stanowiło jedyną ostoję drużyny.

Łotysze, silni fizycznie, dość szybcy i bardzo agresywni — stanowią już dziś przeciwnika, z którym trzeba się bardzo poważnie liczyć. Minęły w każdym razie czasy, kiedy można było przeciw nim wystawiać zespół rezerwowy.

Sędziował p. Aolto (Finlandia) bardzo dobrze.



# ZANIEDBANA DZIEDZINA

Bezwzględnie, przeciętna sprawność fizyczna ludzkości **stale się podnosi.** Tak, jak i we wszystkich innych dziedzinach, opowiadania starych ludzi, że „za ich czasów“ było lepiej — trzeba położyć jedynie na karb złudzenia optycznego, każącego wszystko widzieć bardziej na różowo w okresie, kiedy byliśmy sami piękni i młodzi.

Bezlitosna logika cyfr statystycznych wskazuje, że przeciętny wzrost, że przeciętny format człowieka stale rosną, tak jak i jego długowieczność, to wszystko wbrew legendom o Matuzalemach i Wyrwidębach. Ścisłe dane, przytoczone przez autorów starożytnych, uczą nas, że każdy dzisiejszy „mistrz klasy B“ w antycznej Helladzie pretendowałby do tytułu mistrza olimpijskiego. Bardziej higieniczne odżywianie, większa czystość, zdrowsze warunki mieszkaniowe, postępy medycyny, wszystko to wpłynęło na **ogólne polepszenie rasy ludzkiej...**

Postęp ten idzie coraz szybszymi kroki — czego dowodem, że słyszymy stale o nowych rekordach światowych. Warto jednak zaznaczyć, że rozwój sprawności cielesnych wydaje się obecnie pozostawiać na boku jedną z dziedzin bądź co bądź najważniejszych, a mianowicie **czystą siłę.**

Hasłem dnia jest **szybkość.** Ludzi pasjonują rekordy lotnicze, samochodowe. Bohaterami tłumu są: szybkobiegacz, pływak wyścigowy, as kolarski... Dziedzina czystej siły — która w sporcie przejawia się przede wszystkim w dźwiganiu ciężarów — odsunięta jest w cień.

Odpowiedzą niektórzy — a Rigoulot? Owszem, fantastyczne rekordy młodego Francuza zaciekawiły przed kilku laty cały świat. Były sensacją krótkotrwałą, która przeminęła bez śladu. Podziwiano rekordzistę, lecz nie wstępowano w jego ślady.

Poza tym twierdzenie, by przykład Rigoulota dowodził, że stają się coraz silniejsi — byłoby nieostrożne. Od niedawna dopiero ćwiczenia ciężkoatletyczne są ściśle unormowane, a więc dają się dokładnie porównać. Dawniej panowała dowolność. Odnosi się jednak wrażenie, że mimo całej swej zadziwiającej siły, wszyscy obecni rekordziści ustępują **najsilniejszym ludziom z przed 50 lat,** przede wszystkim zaś Apollonowi i Ludwikowi Cyr.

Ludwik Uni, zwany „Apollonem“, urodził się w 1862 w południowej Francji. Przy wzroście 190 cm ważył 127 kg. Obwód piersi wynosił 138 cm, obwód w pasie tylko 100 cm, biceps miał 51 cm.

Apollon żonglował, jak piłkami, ciężarkami 50-kilowymi. Przez 3 sekundy mógł trzymać na wyciągniętej ręce 70 kg. Sztabę, ważącą 155 kg, rzucał łatwo do góry, utrzymywał ją jednorącz, zachowując równowagę na jednej nodze. Unosił z ziemi ciężar 250 kg.

Granicy sił Apollona nie poznano nigdy, gdyż ten siłacz... nie lubił się męczyć. Ćwiczenia, które przerabiał, wykonywał wszystkie zupełnie łatwo. Raz zdawało się, że siła jego da się zmierzyć. Otóż Anglik Padley pobił, posługując się dynamometrem Regniera, rekord, który należał przedtem do jakiegoś Francuza, i uzyskał 132 kg. Wmówiono w dobrodusznego Apollona, że jest wielką hańbą, by rekord taki wpadł w ręce cudzoziemca. Apollon wziął posłusznie dynamometr w ręce, nacisnął na rączkę, ale wnet przyrząd odłożył, mówiąc: „Et, od tego bolą dłonie, dajcie mi spokój...“ I za nic nie chciał spróbować osiągnąć maksimum. Musiano się zadowolić rezultatem niedokończonej próby; dynamometr wskazywał 153 kg, a więc **o 21 kg więcej od światowego rekordu.**



Charles Rigoulot.



Raz Apollon dał dowód siły wprost nadludzkiej, niestety znowu nie dającej się zmierzyć. Występując w „Varieté“ wykonywał on numer, podczas którego wyginał grube żelazne kraty i przedostawał się przez nie. Pewnego dnia z powodów, które pozostały tajemnicą, zamiast klatki ze sztab żelaznych, ustawiono klatkę o sztabach z hartowanej stali. Gdy już podczas przedstawienia Apollon za nie chwycił, ze zdziwieniem skonstatował, że nie chcą się poddać. Podwoił wysiłki, potem potroił, rzucił się na kraty z pasją i po straszliwej z nimi walce, dla oczekujących niecierpliwie za kulisami niezrozumiałej — wygiął grube sztaby ze stali, aż wreszcie zdołał się między nimi przecisnąć, prawie mdlejący z wyczerpania. Był wtedy po raz pierwszy i jedyny u granicy swych sił.

Louis Cyr urodził się w Kanadzie w rok po Apollonie, bo 1863 r. O ile Francuz był atletą o wyjątkowo pięknej budowie, o tyle Kanadyjczyk był poprostu bryłą potwornie rozrośniętych mięśni. Cyfry charakteryzują go zresztą: przy wzroście jak na 134-kilowego kolosa bardzo małym, bo tylko 176 cm, Cyr miał **obwód piersi 147 cm.** Ramię, najgrubsze z dotychczas znanych, chwaliło się swymi **55 cm.** Napozór bardzo otyły, Cyr w rzeczywistości nie miał na sobie ani grama tłuszczu. Z wyników, przezeń uzyskanych, wymienić warto następujące: Cyr podnosił z ziemi **jednym palcem** 243 kg. Podniósł na plecach platformę wagi 1645 kg, oparł się czterem koniom. Najsławniejszym pozostał jednak jego „trick“ z beczką cementu. Nikt nie był w stanie poruszyć jej z miejsca. Cyr bez trudu wyjmował podłożony pod nią arkusz papieru.

Oczywiście, Uni i Cyr byli fenomenami, jak zresztą fenomenem jest Rigoulot. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że 50 lat temu siły więcej na ogół poszukiwano i więcej ją ceniono, niż dzisiaj. Oczywiście, rekordy szybkości są praktycznie najcenniejsze, jednak i rekordy siły mają swoją dużą wartość. **Dziedziny tej nie powinno się zupełnie zaniedbywać.** Niechże świadomość, że na tym polu stoimy bezradni wobec rekordów z przed 50 lat, pobudzi nas do odrobienia utraconego terenu. Przywróćmy wszystkie zaszczyty niesłusznie zaniedbanej sile fizycznej.

**W. J.**



# GRA ŁĄCZNIKÓW

Najtrudniejszymi do wykonania są w piłce nożnej zadania ataku, który organizuje siły i środki zapewniające zwycięstwo i przeciwstawia się równocześnie destrukcyjnemu działaniu i oporowi przeciwników. W ataku zaś najtrudniejsze i najcięższe zadanie przypada łącznikom.

Już samo słowo „łącznik" mówi o funkcji i naturze gracza na tej pozycji. Ma on łączyć tj. **pośredniczyć w utrzymaniu kontaktu** nie tylko między skrzydłowym a środkiem napadu, ale także być pomostem pomiędzy linią ataku a linią pomocy. Stąd wynikają dla niego niezmiernie ciężkie obowiązki. Musi on być w ustawicznym ruchu, wspierać skrzydłowego, wychodzić do przodu na pozycję strzałową, cofać się, aby zachować połączenie z pomocą, będącą właśnie w defenzywie. To też kierunki jego biegów krzyżują się i rozchodzą w cztery strony świata.

Łącznik musi posiadać nielada **kondycję biegową, szybkość i wytrzymałość** zarazem. Bez tej kondycji nie mógłby on w dostatecznej mierze wypełniać swoje obowiązki. To też nierzadko w grze wykazuje on pewne niedociągnięcia: albo zbytnio trzyma się tyłu i nie wychodzi do piłek, wypuszczonych mu na strzał, albo gdy zapędzi się do przodu, nie zdąży po odpartym ataku wrócić na czas, aby nawiązać kontakt z ustępującą pomocą przez ustawienie się w szerokiej próżni, która się często w takich wypadkach tworzy — albo wreszcie trzyma się więcej środka i pozostawia skrzydłowego ataku jego własnemu losowi. Aby podołać swemu zadaniu, łącznik obok wielkiego zapasu sił i wytrzymałości, musi także posiadać umiejętność rozłożenia sobie pracy i oszczędnego zużywania kapitału swej energii. Pod grozą załamania się nie śmie on pozwalać sobie na zbędne wysiłki a zwłaszcza na popisowe a tak wyczerpujące harce solowe.

Jeśli środkowy jest osią napadu, a skrzydłowy jego skrzydłem, to rola łączników przypomina funkcje zawiasów, przy pomocy których ruchome skrzydła trzymają się kadłuba. Od funkcjonowania łącznika zależy w głównej mierze powodzenie skrzydłowego.

Wcale nie przypadkiem technika zespołowa stworzyła dla udoskonalenia współpracy tej właśnie dwójki napastników największą ilość zespołowych pomysłów, bo w sumie pracy całego ataku około zdobycia terenu, wysiłki tej dwójki stanowią ogromną większość, zwłaszcza, że ich dokonują aż dwie dwójki, które razem przedstawiają 4/5 graczy napadu.

Stosownie do swej roli **łącznik musi trzymać się skrzydłowego.** Tylko przy rozpoczynaniu gry ze środka boiska obu tych graczy rozdziela znaczna przestrzeń, ale zaraz po opuszczeniu koła, łącznik powinien przysunąć się bliżej pod skrzydłowego, aby w każdej chwili przyjąć od niego piłkę a następnie wysłać mu ją znowu do przodu, gdy mu udało się wymknąć z pod przykrej „opieki" bocznego pomocnika.

Łącznik w stosunku do skrzydłowego ma często możność odgrywania roli rzeczywistego opiekuna i oswobodziciela. Szczególnie widać to, gdy skrzydłowy otrzymał ze środka długą piłkę, podaną równolegle lub do tyłu. Wówczas skrzydłowy, zamiast zapuszczać się w niepewną walkę z zagradzającym mu drogę przeciwnikiem, odstępuje ją swojemu łącznikowi, sam zaś łatwo mija biegiem swojego prześladowcę, aby na wolnej pozycji znowu otrzymać piłkę od łącznika. Taka współpraca obfituje w piękne momenty i wzbudza wśród widzów zadowolenie i humor jak dobry dowcip, drużynie zaś przynosi zazwyczaj wielkie korzyści.

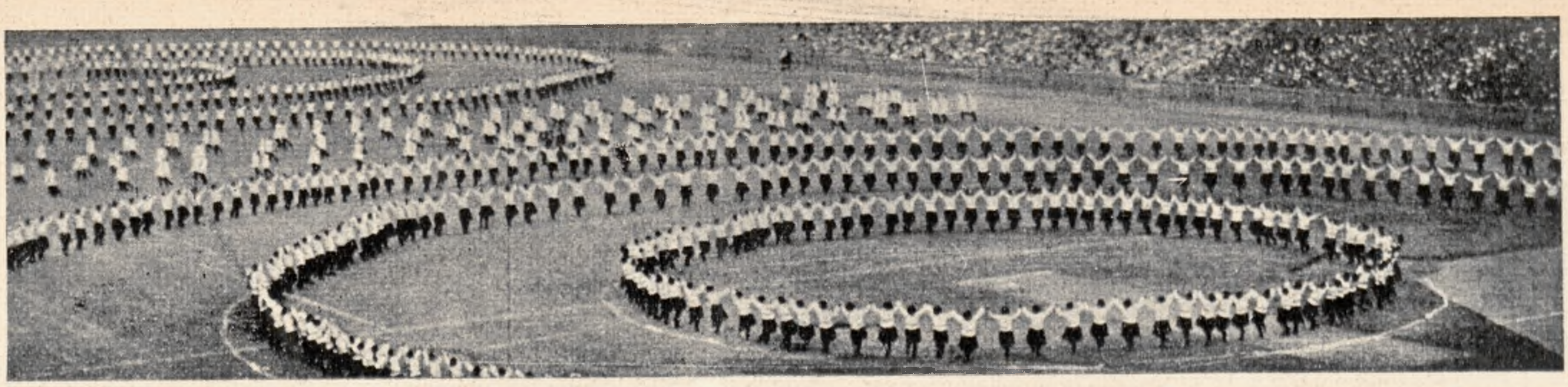
Dopiero w okolicy pola karnego łącznik może oddalić się od skrzydłowego i **przysunąć się bliżej środka,** aby spełnić swoje obowiązki strzelca.

Łącznik jest również tym graczem, który posiada najwięcej możliwości strzału dzięki różnorodności pozycyj strzałowych, które na jego stanowisku najłatwiej dają się wyrobić. I tak jeśli biegnie na równej wysokości ze swoim skrzydłowym, może otrzymać od niego krótkie podanie równoległe, nieco tylko do przodu wypuszczone, „na plecy" obrońcy, albo jeszcze częściej niskie podanie do tyłu. W obu wypadkach powinien on strzelać o ile możności, bez zatrzymywania piłki. Środkowy ataku wypuszcza mu piłkę „w uliczkę", zaś drugi skrzydłowy przerzuca piłkę ponad głowami przeciwników przy pomocy długiej centry, która przeważnie opada właśnie ponad pozycją łącznika, na jego głowę lub nogę. Także rogi bite z drugiego skrzydła, na niego głównie są kierowane. Łącznik ma więc wiele okazji do popisywania się strzałem.

Pytanie tylko, czy wobec nawału pracy starczy mu sił na punktualne stawienie się na pozycji strzałowej. Dlatego łącznik w swoim treningu powinien zagadnienie biegu i wytrzymałości postawić na naczelnym miejscu.

Z lotnością łącznika kojarzy się **technika przyjmowania i podawania piłki w biegu.** Gracz wykazujący skłonność do operowania piłką dopiero po jej unieruchomieniu tj. technik w miejscu, nie nadaje się na tę pozycję, jako zbyt powolny w działaniu. Słaby fizycznie zawodnik napotyka również z tego powodu na znacznie większe trudności na tym stanowisku niż silnie zbudowany. Łącznik bowiem stosunkowo najwięcej z całego ataku ma do czynienia z obrońcą, który z reguły jest graczem cięższej wagi. **Edmund Marion.**





# NAD FIŃSKĄ ZATOKĄ

Pierwszą część tegorocznych wakacji spędziłam w Finlandii jako jedna z 13-tu Polek, będących na trzytygodniowym kursie u Elli Björksten, słynnej reformatorki gimnastyki kobiecej na terenie państw skandynawskich. Kursy takie są organizowane przez „Północny Związek Gimnastyczny" Finlandii, Szwecji, Danii i Norwegii: „Nordiski Förbund för Kwinnogymnastik", co roku w innym z wyżej wymienionych państw. Tego lata przypadła kolej na Finlandię. Trzy godziny drogi od Helsingforsu leży nad zatoką miasteczko Ekenäs, gdzie Elli Björksten wraz z całym zastępem instruktorek wkładała nam w głowę i mięśnie swoją metodę. Wszystkich uczestniczek było 150, przeważnie Skandynawki. Prócz tego dwie Szkotki, dwie Amerykanki, jedna Afrykanka i nas Polek 13.

Zajęć przeciętnie było 5 godzin dziennie. W programie była gimnastyka, lekka atletyka i gry sportowe.

Ćwiczące podzielone były na 3 grupy. Pierwszą, najlepszą, prowadziła sama Björksten, dwie następne inne instruktorki. Do grupy pierwszej należały same Skandynawki, głównie świeżo upieczone absolwentki Instytutu Gimnastycznego i te, które już przez szereg lat jeździły na kurs wakacyjny.

Nas przydzielono do grupy drugiej i trzeciej, jako że w większości byłyśmy po raz pierwszy. Jednak po dwóch dniach ćwiczeń, Polska odniosła duży sukces, bo jedną z absolwentek CIWF-u p. Kałużynę przeniesiono do grupy Björksten. Byłyśmy dumne z naszej koleżanki, która tak dzielnie reprezentowała barwy polskie po drugiej stronie Bałtyku.

W ogóle popularnie zwane „Polen" cieszyły się dużą sympatią wśród jasnowłosych córek północy. Wprawdzie ze znajomością języka było trochę gorzej, jednak niemiecki i francuski wystarczył, ażeby się porozumieć a nawet zaprzyjaźnić.

Pracowity dzień w Ekenäs zaczynał się o godzinie 8-mej śniadaniem. Zaraz po tym był wykład.

O godzinie 9-tej m. 30 rozpoczynała się gimnastyka Elli Björksten, a potem kolejno grup następnych. Oczywiście na wszystkich godzinach byłyśmy obecne patrząc i notując albo ćwicząc.

Początkowe lekcje kosztowały nas dużo nerwów. Przecież nie rozumiałyśmy słów komendy a z drugiej strony nie można było zrobić wstydu biało-amarantowej kokardce, przypiętej do kostiumu gimnastycznego. A jednak wszystko poszło dobrze i nawet same instruktorki były mile zdziwione, skąd „Polen" nie znające języka wykładowego tak się szybko we wszystkim orientują; tłumaczono to sobie wrodzoną Polakom inteligencją i muzykalnością. Oczywiście najlepiej wychodziły nam wszystkie kroki taneczne i pląsy. Ponieważ każda lekcja była często przeplatana tego rodzaju ćwiczeniami, więc nasze samopoczucie wzrastało z minuty na minutę.

Przez pierwsze parę dni bolały nas wszystkie mięśnie, to też siedziałyśmy jak długo się tylko dało po każdej gimnastyce pod gorąco-zimnym natryskiem a po zajęciach pławiłyśmy się w morsko-słonym jeziorze. Oczywiście Skandynawki miały mniej od nas roboty, bo dostawały gotowe drukowane toki lekcyjne wszystkich grup ćwiczących. My musiałyśmy wszystko same pisać, a że ćwiczenia były nieraz bardzo skomplikowane, więc zajmowało to dużo czasu. Ponieważ jednak cierpiałyśmy na bezsenność z powodu białych nocy, więc się pisało i dyskutowało na temat Ekenäs, Elli Björksten i jej metody. Mieszkałyśmy w szkole w dwóch dużych, jasnych i bardzo miło urządzonych salach. Miejsca było tyle, że nawet urządzenie dancingu dla kilkunastu Norweżek nie sprawiało żadnych trudności. W ogóle z Norwegią przyjaźniłyśmy się najbardziej ucząc się nawzajem tańców i piosenek. Najwięcej przypadł im do gustu „Czerwony pas", „Mufa, mufa" i „Sto lat niech żyje nam".

O zachodzie słońca, który miał miejsce około 10-tej wieczorem, jeździło się motorówką po zatoce wśród całego labiryntu wysepek pełnych zieleni i małych czerwonych domków z białymi okiennicami.

Poczta przychodziła dwa razy dziennie i wtedy kwitł handel zamienny znaczkami.

Po podwieczorku składającym się z doskonałej kawy i ciastek były gry sportowe. I tutaj drużyna nasza nie została w tyle, wygrywając niejedną partię „handball'u".

Co niedzielę odbywały się wycieczki do okolicznych, bardziej ciekawych miejscowości. Specjalnie ładna była wycieczka do Hangö, kąpieliska nad pełnym morzem (coś w rodzaju naszej Juraty), połączona z pokazem regionalnych tańców fińskich w strojach ludowych.

Samo Hangö jest pięknie położone, a widok ze skał nadbrzeżnych na morze zostawił niezatarte niczym wrażenie. Woda błękitna jak na południu, na horyzoncie dużo białych żagli, zaś na jednej z licznych wysp ruiny starej szwedzkiej fortecy.

Innym razem pojechałyśmy na cały dzień nad jezioro Källviken, ażeby się pławić w wodzie i słońcu. Jak nam Elli Björksten opowiadała, była to ulubiona miejscowość cara Aleksandra i tam podobno spotykał się najczęściej z Panią swego serca. Niedaleko nad wodą w lesie stoi nawet pomnik cara.

Potem przyszła kolej na Helsinki. Tam pojechałyśmy same korzystając z angielskiej soboty. Dzień był śliczny ale bardzo gorący, to też wędrówka po mieście zmęczyła nas porządnie.

Oczywiście jednym z głównych przedmiotów zainteresowania był słynny stadion olimpijski, z którego 13-piętrowej wieży roztacza się wspaniały widok na całe miasto i morze. Stadion jest imponujący w swoich rozmiarach. Otoczony jeszcze całym szeregiem boisk tworzy niedaleko centrum miasta sportowe państewko, nad którym owa wysoka biała wieża króluje.

Ciekawy też bardzo był zbiór przeróżnych starych nart w muzeum narodowym fińskim, gdzie jedna sala jest poświęcona wyłącznie nartom.

Tymczasem powoli zbliżał się koniec kursu. Finlandia, która przyjęła nas z początku deszczem i chłodem, w ostatnich dwu tygodniach rozsłoneczniła się na dobre.

Zaczęłyśmy przygotowywać pożegnalny wieczór z regionalnymi i narodowymi tańcami polskimi. Każda z nas przywiozła sobie jakiś kostium ludowy. Były więc reprezentowane wszystkie dzielnice Polski.

Na dwa dni przed wyjazdem miał miejsce nasz występ. Żałowałyśmy trochę, że w sali gimnastycznej a nie przy ognisku, bo wieczór był ciepły i pogodny. Ponieważ jednak nie tylko my ale i inne narodowości brały czynny udział, więc trzeba się było do ogółu dostosować. Przyznaję, że miałyśmy trochę strachu, bo przecież chodziło nam bardzo o to, żeby wszystko wypadło bez zarzutu. Gdy jednak na sam widok barwnych naszych kostiumów posypały się rzęsiste brawa wróciła nam nieco przygaszona fantazja. Na pierwszy ogień poszły tańce kaszubskie i śląskie. Potem zachwiały się pawie pióra przy czapkach i zabrzęczały kółka u pasów w takt melodii krakowiaka, rozkwieciły się szerokie spódnice przy kujawiaku i oberku. Zakończyłyśmy mazurem, który był wykonany z prawdziwie polskim temperamentem. To też gdy umilkły ostatnie takty muzyki oklaskom i okrzykom „brawo Polen" nie było końca. Podbiłyśmy w zupełności skandynawskie serca. Na drugi dzień większa ilość aparatów fotograficznych nie dawała nam spokoju. Każda z cudzoziemek chciała mieć na pamiątkę zdjęcie naszej trzynastki. Będąc przedmiotem ogólnego zainteresowania chodziłyśmy dumne jak pawie.

I tak przyszedł 15-ty lipca, dzień zakończenia kursu. Rano ostatnia i najpiękniejsza ze wszystkich lekcja Elli Björksten, potem uroczysty lunch. Po lunchu cały kurs zebrał się w ogrodzie, gdzie na masztach łopotały cztery skandynawskie flagi. Elli Björksten stała patrząc na nie ze łzami w oczach, w rękach trzymała pęk biało-czerwonych gwoździków.

Wśród niczem nie zmąconej ciszy, powoli, jakby niechętnie opuszczały się flagi w dół.

I chociaż świeciło mocne lipcowe słońce, zrobiło się nam wszystkim smutno, że to już koniec.

Potem gwar i chaos pożegnania. Dawanie i branie adresów, obietnice częstej korespondencji, pakowanie i wyjazd.

Za ostatnie marki fińskie kupiono banany i winogrona, ruch i gwar w porcie i zaokrętowanie.

Kotwicę podniesiono o 13-tej, cofnęłyśmy zegarki o godzinę według czasu środnio-europejskiego, żegnając tym samym gościnną Północ.



Grupa gimnastyczna Elli Björksten.

Za nami został Helsingfors i przybrzeżne wysepki, wypłynęliśmy na pełne morze, na którego południowym brzegu była Polska.

**Barbara Goebel.**

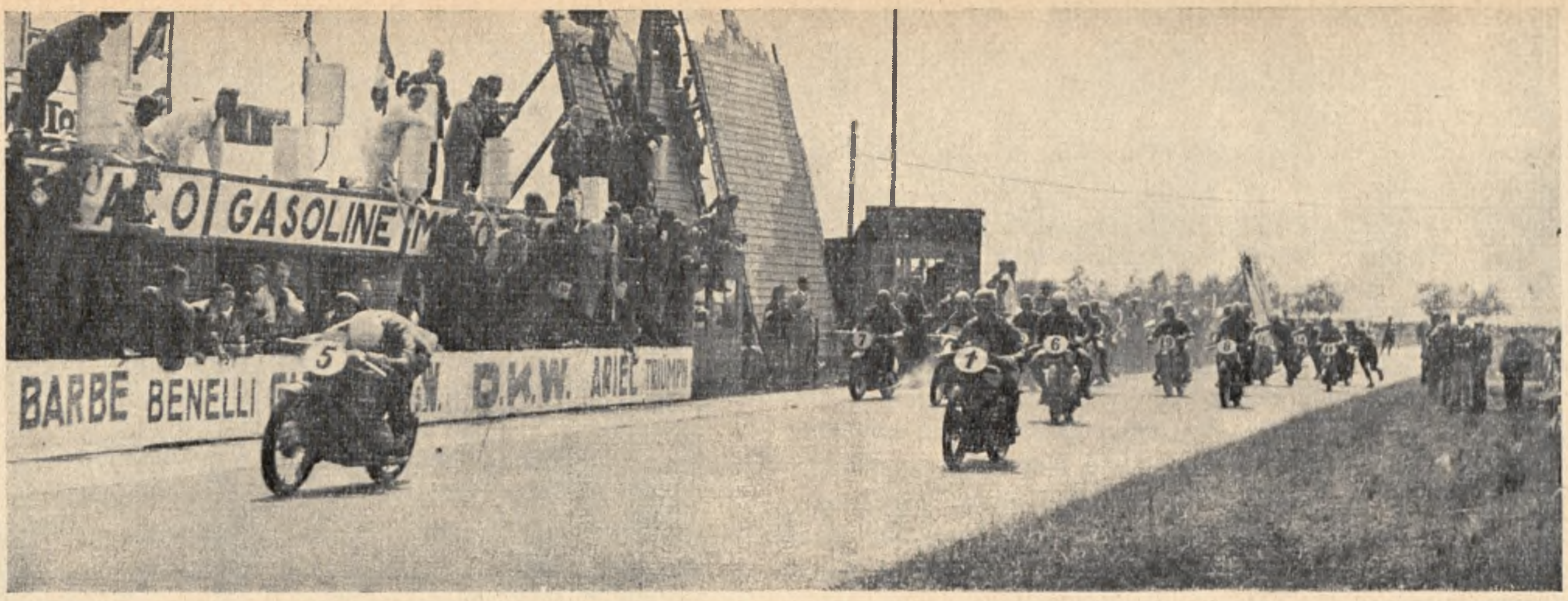
# NA SIODEŁKU MOTOCYKLA

II.

Tak zacząłem moją karierę motocyklisty. Każdy dzień niemal dawał mi szereg ważnych spostrzeżeń, zarówno na temat maszyny, jak drogi i porządku na niej, a wreszcie na temat moich wrażeń.

Zacznijmy więc relację z moich podróży od maszyny. Przejechałem już od czerwca b. r. około 3.500 km, przy czym maszyna nie zepsuła się ani razu. Nie liczę pierwszego dnia, kiedy musiałem ją prowadzić blizko 5 kilometrów, ale było to z mojej winy, nie wiedziałem jeszcze, jak sobie poradzić z zatkaniem przewodu od benzyny.

Oto kilka zasadniczych doświadczeń, dotyczących sposobu jazdy. Przede wszystkim pamiętać trzeba, że zetknięcie się dwóch pojazdów na skrzyżowaniach lub przy mijaniu jest zbiegiem okoliczności bardzo rzadkim, wymaga bowiem spotkania się dwóch pędzących w przeciwnych lub krzyżowych kierunkach maszyn, zarówno w czasie jak i w przestrzeni. To też do uniknięcia zderzenia wystarczy zupełnie, jeśli zwolnimy na skrzyżowaniu, tak, by móc się na dystansie kilku metrów zatrzymać, damy sygnał i rozejrzymy się uważnie. Właściwie jazda jest sumą szczęśliwych zbiegów okoliczności i rozwiązanie sytuacji, które kierowca motocykla musi znajdować na ruchliwych szosach, lub w mieście niemal co chwila, może być różne. Najlepiej to wyjaśnić na przykładzie: jadę prawą stroną szosy. Przede mną jedzie w tym samym kierunku, wolno wóz naładowany sianem. Taki wóz nie stanowi niebezpieczeństwa, ale zasłania drogę. Trzeba go minąć, przejeżdżając na środek szosy. Najlepiej to zrobić jeszcze zdaleka, aby nie wyłonić się nagle z poza wozu dla kierowcy auta, nadjeżdżającego z przeciwnej strony. Przesunąwszy się zatem po szosie w kierunku środka, widzimy z przeciwnej strony nadjeżdżający autobus. Szosa z trudem może pomieścić obok siebie autobus, wóz z sianem i motocykl. To też trzeba zdecydować, czy zwolnimy jazdę i przeczekamy za wozem aż autobus przejedzie, aby wyminąć później wóz, czy też najpierw wyminiemy wóz, aby powrócić na prawą stronę szosy i minąć się z autobusem. Trzeba tu szybko ocenić odległość i szybkość nadjeżdżającego autobusu: czy zdążymy to zrobić? Jeżeli tak, to decydujemy się szybko, przyspieszamy jazdę i mijamy wóz, poczem tuż przed koniem zjeżdżamy na prawą stronę szosy, aby przepuścić autobus. Ale może się zdarzyć, że przed owym wozem, niewidoczny dla nas, jedzie jeszcze jeden, i to tak blizko, że nie zmieścimy się pomiędzy wozami na prawej stronie szosy. Wtedy trzeba szybko decydować na dalsze przyspieszenie, o ile zdążymy to zrobić, jeżeli zaś nie, trzeba się pozwolić wyminąć w ciasnej kiszce wolnej drogi, powstałej między autobusem i wozami z sianem. Gdybyż te wozy przynajmniej trzymały się jak najbliżej prawej krawędzi jezdni, niestety bardzo często jadą środkiem drogi, a woźnice śpią na pachnącym sianku. Trąbienie nie pomaga, a bat woźnicy prawie zawsze zwisa na lewą stronę szosy i łatwo się można w ten bat zaplątać. Trzeba wtedy mijać wóz z prawej strony szosy, ale ten może też nagle skręcić na prawo... Takie niebezpieczeństwa czyhają na każdym kroku, ale groźne są tylko w opowiadaniu. Zwykle im decyzja jest śmielsza, tym lepsza, bo szybciej i pewniej rozwiązuje sytuację, która się wytworzyła na drodze. Należy jeszcze pamiętać i o tem, że prawie zawsze mamy możność zjechać całkiem na prawo, z twardej nawierzchni na miękki brzeg szosy i w ten sposób uchronić się od wszelkiego niebezpieczeństwa. Trzeba tylko pamiętać o tym, że najgorsza decyzja na szosie, powzięta szybko i wykonana pewnie, więcej jest warta od niezdecydowania. Tak, jazda na motocyklu bardzo wyrabia charakter.




Siadam tedy na siodełko, naciskam pedał startowy, silnik zaczyna warczeć. Chwilkę jeszcze oglądam opony, przednią i tylną, sprawdzam światło, próbuję ręką, czy umocowana na bagażniku za pomocą trzech rzemieni walizeczka mocno się trzyma, wreszcie naciskam sprzęgło, włączam bieg, ruszam z miejsca. Droga przez miasto, która początkującemu jeźdźcowi wydaje się dżunglą, pełną krwiożerczych tygrysów, czyhających na jego niewinne życie i całość maszyny — przechodzi jakoś bez wypadku. Człowiekowi, chodzącemu po chodnikach, niewielki nawet ruch uliczny wydaje się czymś niebywale skomplikowanym i niebezpiecznym. Być jednak cząstką tego ruchu, posuwać się wraz z falą pojazdów, to zupełnie co innego. Aby tylko pojazdy szeregowały się na ulicy według swej szybkości, najszybsze blizko środka jezdni, najmniej szybkie przy chodniku, i aby się tylko nie ścigały i nie mijały np. dwie dorożki konne, albo dwa wozy z cegłami, albo dwa autobusy — przejazd odbędzie się wtedy bez żadnego wypadku. Przechodnie na jezdni są wtedy tylko niebezpieczni dla jadących, gdy się nie mogą zdecydować na przejście, kręcą się bezradnie po jezdni, albo biegną, aby szybciej minąć niebezpieczne miejsce. Powtarzam, ci ludzie są niebezpieczni dla jadących, a nie odwrotnie — bo jezdnia, to moje królestwo, a twoje, piechurze — to chodnik. Bardzo rzadko się zdarza, by pojazd jaki wjechał na chodnik, i naruszył granice twego królestwa. Przechodzień powinien o tym zawsze pamiętać, że wchodząc na jezdnię, wkracza w moje prawo i na moje terytorium. Niechże więc, wkraczając na teren obcy, zachowa się jak cudzoziemiec w obcym kraju: niech godnie reprezentuje swoje państwo. Niech idzie zdecydowanym, niezbyt szybkim krokiem, niechaj nie biegnie, niech się nigdy nie cofa. Jeżeli widzi, że nie zdąży przejść przed jadącym pojazdem, niech się zatrzyma, patrząc w jego stronę. Niech kierowca pojazdu widzi, że patrzysz na niego. On na ciebie patrzy na pewno, bo jemu, jak i tobie grozi śmierć, jeśli nie będzie uważny. Ale oto ulice rozszerzają się, wypadamy z pomiędzy domów na teren otwarty, przede mną rozwija się szare pasmo drogi wyłożonej kostkami bazaltu — szosa radomska. W prawej ręce trzymam obracającą się na kierownicy rączkę gumową, regulator dopływu paliwa do karburatora. Obrót tej rączki daje mi przyśpieszenie. Przyśpieszam tedy i natychmiast, automatycznie, odruchowo, noga naciska pedał hamulca: przede mną, o kilkadziesiąt metrów cała droga zasłonięta; idzie stado krów. Krowa jest poważna, majestatyczna, dostojna i poczciwa. Czy w stadzie, czy samotnie idzie zawsze powoli, i nigdy nie wiadomo, w którą stronę skręci: czy zajdzie ci drogę, nieszczęsny jeźdźcze, czy też przeciwnie, ustąpi. Jakże często zdarza się, że krowa nagle wkracza na drogę tuż przed tobą, spokojnie dążąc na drugą stronę drogi, gdzie pewno trawa jest bardziej soczysta. Jeżeli zaś masz przed sobą stado krów, tedy hamuj maszynę z całej siły: krowy nie dadzą ci przejść na pewno. Będziesz posuwał się między nimi powoli, popychając motocykl opuszczonymi na jezdnię nogami, aż miniesz stado. Wtedy dopiero pojedziesz dalej. Nie licz na pastucha, że krowy spędzi na jedną stronę drogi, dając ci miejsce, pastuch albo idzie za rowem, po ścieżce, albo stoi, gapiąc się na ciebie, że jedziesz bez konia. Wszystko to robi pastuch dobry, poczciwy, bo pastuch niepoczciwy rzuca na ciebie kamieniem, albo podkłada ci pod koła gałęzie, ostre kamienie, suche patyki, abyś je kołami połamał. Nie trać zimnej krwi przyjacielu turysto: szkoda twego gniewu. Jesteś sam na szosie, a dokoła wrogowie maszyny, złośliwi, albo bezwiedni. Krowa, gęś, pastuch, pies, wóz czy inny pojazd zaprzężony w konie — cykliści jadący rzędem, trzymając się za bary, lub wożący dziewczęta, i piesi przechodnie. Jeżeli jesteś nerwowy, jeśli zatrzymujesz się, wymyślasz, albo tłumaczysz, przypominasz przepisy drogowe, — muszę cię uprzedzić, kolego, że czynisz to daremnie: spotkasz się ze zdumionym spojrzeniem, albo dostaniesz batem, czy kamieniem. Gorzka to prawda, ale prawda; odziej się zatem w pancerz olimpijskiego spokoju i nie daj się za żadną cenę wyprowadzić z równowagi. Ta ostatnia rada podana jest i w dosłownym znaczeniu i w przenośni: primo nie denerwuj się i secundo staraj się nie przewrócić. Niech cię także nie rażą, kochany motocyklisto, tablice z napisem „5 kilometrów na godzinę“, ustawione koło miejsca, gdzie naprawiają drogę. 5 km/godz. to szybkość idącego człowieka. Motocykl przy takiej szybkości na chropowatej jezdni nie może utrzymać równowagi, przewraca się, a samochód staje, silnik gaśnie. Pomyśl sobie tylko z pobłażliwym uśmiechem, że ten, co owe tablice projektował, mógł się wpierw zapoznać z zasadami ruchu pojazdów mechanicznych, mógł nabrać kultury technicznej, która nam tak jest potrzebna, i wtedy nie postawiłby takiej tablicy, napisałby co najmniej 20 km/godz. — bo wiedziałby, że to jest szybkość dla pojazdu mechanicznego minimalna i wystarczająca, by zahamować i zatrzymać się w razie potrzeby na przestrzeni 5-ciu metrów.

**Wacław Frenkiel.**

# BASENY KRYTE

Stoimy już u progu sezonu basenów krytych. Wprawdzie liczne rzesze amatorów sportu pływackiego korzystają jeszcze z wody otwartej, powoli jednak ze względu na zbliżające się chłody przechodzą pod „dach zamknięty". Również nowicjusze wolą uczyć się w wodzie cieplejszej i warunkach idealnie bezpiecznych i wygodniejszych.

W Polsce posiadamy kilkanaście krytych basenów, z tego sześć przypada na stolicę.

Jest to liczba **znikoma** w stosunku do potrzeb obywateli 33-milionowego państwa, nie mówiąc już o znaczeniu samego sportu pływackiego w życiu. W porównaniu z ilością krytych basenów w krajach zachodnio-europejskich i północnych, nie wytrzymujemy żadnej krytyki i stoimy bodajże na szarym końcu. Usprawiedliwia nas to jednak, że koszty budowy i utrzymania takiego basenu są dość znaczne i trudno wymagać od młodego naszego państwa i młodego sportu pływackiego „masowej budowy". W każdym bądź razie ilość krytych basenów stale wzrasta i wzrastać powinna ciągle. Takich bowiem inwestycji jak krytych pływalni nigdy nie jest za dużo. Są one **koniecznością i potrzebą** codziennego życia obywateli. Z tego wszyscy doskonale zdają sobie sprawę.

Pierwsze kryte baseny w Polsce powstały na Śląsku. Jakie ma to znaczenie dla poziomu i wartości samego sportu pływackiego, widzimy na wynikach pływaków śląskich, będących „elitą" pływactwa polskiego. Możność stałego treningu uczyniła ze Śląska „twierdzę" pływacką całej Polski. Pływacy śląscy są dzisiaj u nas **bezkonkurencyjni.** Zwiększająca się ilość pływalni krytych będzie b. ważnym czynnikiem, wpływającym na rozwój sportu pływackiego.

Warszawa posiada baseny następujące: 1) w C. I. W. F-ie, 2) w Y. M. C. A., 3) w Kasie Chorych (Ubezp. Społecznej), 4) w Yacht-Klubie Oficerskim, 5) w Fundacji Domów Akademickich (A. Z. S.), 6) w Gimnazjum im Batorego.

Poza tym jest już zbudowany i wkrótce będzie oddany do użytku basen w II-gim gimnazjum Miejskim. Jest to basen o wymiarach 20×6 m. Dość wprawdzie skromny pod względem przestronności miejsca (mała wysokość), do nauki pływania jest jednak zupełnie dobry.

Trzeba bowiem zaznaczyć, że w ogóle wszystkie kryte pływalnie należy podzielić na 2 grupy:

I-sza grupa — baseny kryte o wymiarach wybitnie sportowych, pozwalające na urządzanie **zawodów,** meczów waterpolowych etc.

II-ga grupa — baseny kryte o wymiarach mniejszych, służące do **nauki pływania.**

Warszawa posiada tylko 2 baseny sportowe. Jeden — to basen C. I. W. F-u, otwarty w roku zeszłym. Wymiary pływalni C. I. W. F-u są następujące: Długość i szerokość 25×12,5, głębokość 1,10—3,5, poza tym mamy tam 3-metrową przepisową skocznię. Jest to jedyny basen w Warszawie, gdzie można grać w water-polo. Utrzymanie basenu tej wielkości jest bardzo drogie; tym możemy sobie tłumaczyć tylko 3-miesięczną jego aktywność.

Drugim basenem o wymiarach sportowych jest basen Polskiej Y. M. C. A. (25×7,5), którego urządzenia pozwalają na organizowanie najpoważniejszych zawodów, do mistrzostw Europy włącznie.

Za rok, najpóźniej 2 lata, Warszawa będzie posiadać jeszcze jeden kryty basen, magistracki, podobno bardzo nowoczesny i estetyczny.

Poza Warszawą kryte pływalnie posiadają Kraków (Y. M. C. A., jeden z najstarszych basenów w Polsce, zbudowany 6 lat temu), Łódź (Y. M. C. A.), Lwów (basen zbudowany 2 lata temu), Katowice i Giszowiec. Są to baseny, znacznie różniące się między sobą wymiarami i urządzeniami technicznymi. Na to ostatnie składa się sam gatunek wody, sposoby jej czyszczenia i temperatura.

Często słyszy się zdanie, że ktoś brzydzi się brudnej wody na pływalni i to odstręcza go od nauki pływania. Postaramy się wyprowadzić tych ostrożnych ludzi z błędu (niestety, nie całkowitego) i sprawę tę dostatecznie wyjaśnić.

Jak było zaznaczone wyżej, urządzenia techniczne na całym szeregu basenów znacznie różnią się między sobą. Używa się kilku sposobów oczyszczania wody, nie mówiąc już o całkowitym przelewie, stosowanym co pewien określony czas.

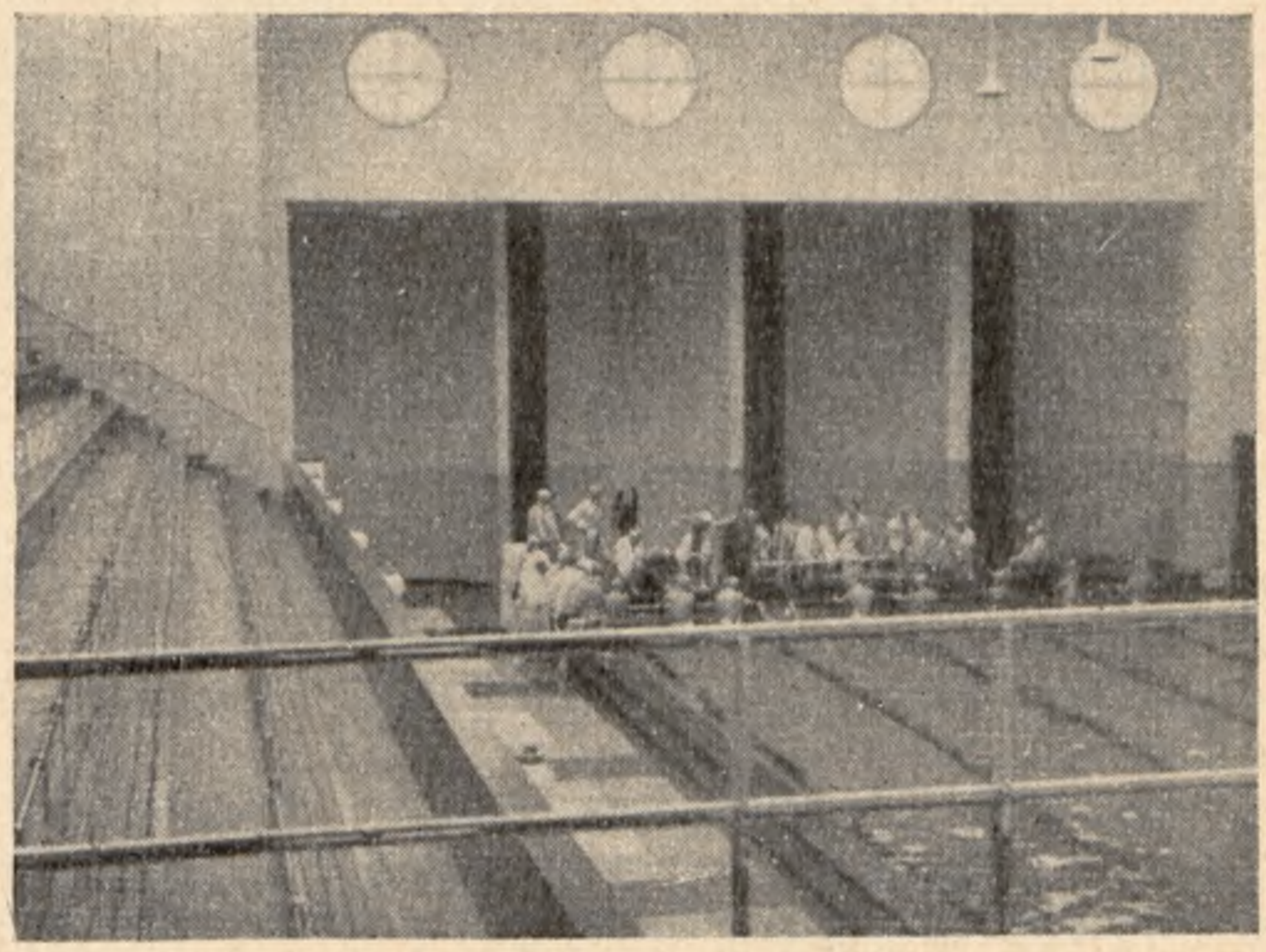
Pierwszy sposób polega na zwykłym filtrowaniu.

Drugi — to ałunowanie, tj. wpuszczanie specjalnego płynu ałunowego, strącającego cząsteczki tłuszczu i brudu na dno, poczem następuje czyszczenie dna za pomocą specjalnych elektrycznych szczotek.

Trzeci sposób — to stały częściowy przelew (codziennie zlewa się np. 15% wody).

Inny zaś sposób — to chloraminowanie w odpowiednim procencie w celu profilaktycznym (bakteriobójczym).

Te wszystkie techniczne sposoby, połączone z bezwzględnym przestrzeganiem czystości przez korzystających z basenu i ciągłą kontrolą wchodzących do wody, mogą dać rękojmię, że woda jest czysta i brzydzić się jej nie ma potrzeby.



Pływalnia kryta w C.I.W.F.

Przechodząc do frekwencji na basenach krytych w Polsce, trzeba zwrócić uwagę na objaw bardzo pocieszający i pomyślny dla przyszłości pływactwa polskiego.

Mianowicie młodzież **garnie się** do pływania i udział szkół jest **bardzo duży.**

Te zaś uczelnie, które posiadają własne baseny, a więc gimn. Batorego, które ma sekcję pływacką, stojącą na zupełnie dobrym poziomie, często osiągają wyniki lepsze od szeregu klubów, nawet od reprezentacji miast (!!). Przykładem może służyć zwycięstwo reprezentacji gimn. im. Batorego nad gimn. niemieckim z Łodzi (mistrz Łodzi), które pokonało reprezentację Warszawy, uczniom zaś pływakom z gimn. Batorego uległo bezapelacyjnie, wygrywając na 8 konkurencji zaledwie jedną! Oto, co znaczy mieć możność treningu przez cały rok.

Największe natężenie sezonu na pływalniach krytych przypada na miesiące: **listopad, grudzień, kwiecień i maj.**

Przeciętna frekwencja w sezonie ubiegłym wynosiła przeciętnie około 3.000 w miesiącach największego natężenia. (Baseny O. Y. Clubu, Ubezpieczalni, A. Z. S.). Basen zaś Y. M. C. A. posiadał frekwencję dochodzącą do 10.000 osób.

Frekwencja na basenach w Krakowie, Łodzi i Lwowie obraca się w tych samych granicach (3—4.000 osób), Śląsk ma frekwencję liczniejszą i większy udział klubów.

**Z. D.**

JAN O. RZUTOWSKI. 33

# BILL PATRICK

Na dźwięk gongu, obaj pięściarze zerwali się ze swych krzeseł, rzucając się ku sobie. Stani dał nurka pod ręką Patricka i znalazł się w zwarciu. Pięści jego zaczęły bębnić po tułowiu Billa. Ten cofnął się w pośpiechu, lecz Stani natychmiast podążył za nim, kontynuując żywiołowy swój atak. Ciosy jego z każdą sekundą stawały się gwałtowniejsze. Bill chwycił go wpół. Na komendę „break" obaj odskoczyli, by się zewrzeć znowu. W chwili, gdy mieli się już zetknąć, Bill jakby się skurczył, potem znów wyprostował, wyrzucając do góry prawą pięść. Rozległ się charakterystyczny suchy trzask. Głowa Staniego odleciała w tył, kolana się ugięły, ręce bezwładnie opadły.

...Sześć, siedem, osiem — liczył sędzia.

Bill nonszalancko podszedł do boku ringu, przy którym umieszczone były stoliki dla prasy, i przechyliwszy się przez liny, posłał dziennikarzom ironiczny ukłon ręką. Chciał gest swój uzupełnić głośnym śmiechem; z ust jego wyrwał się jednak tylko jakiś bełkot.

— Osiem, dziewięć...

Bill odwrócił się, jakby od niechcenia, założywszy nogę na nogę i opierając się wygodnie o sznury.

Sędzia miał już wymówić sakramentalne „out", gdy Stani nerwowym szarpnięciem podniósł się na równe nogi.

Patrick nie śpiesząc się ruszył w jego kierunku, z miną toreadora, mającego zadać ostatnie, śmiertelne pchnięcie. Cofnął prawą pięść. Battling Stani stał cały skulony, schowany w sobie i patrzał przed siebie jak ścigany zwierz.

— No wiesz teraz, gdzie raki zimują? — szepnął Bill.

Stani zbladł. Twarz jego przekrzywił bolesny grymas, w oczach błysnęły łzy. Skurczył się jeszcze bardziej. Bill Patrick ostrym ruchem ręki odrzucił w bok pięść przeciwnika i lądował na jego szczęce zapamiętałym prawym sierpem.

— Jezus Maria, jęknął Stani i ciężko osunął się na ziemię.

— Niestety, już koniec, westchnął sprawozdawca „Boxing World". Pomyliłem się...

— Tak, teraz jest k. o., potwierdził recenzent „New York Herald".

— Nic podobnego, rozległ się głos tuż za nimi. Odwrócili się: za nimi siedział Gene Tunney.

— Pan sądzi, że Polak wstanie? — zdziwili się dziennikarze.

— Trzymam każdą sumę za Battlingiem Stani, dziesięć za jeden... yes.

— Prezes żartuje chyba...

— Wstanie. Wstanie jeszcze sto razy, jeśli będzie trzeba, i wygra...

— Pan prezes wybaczy, wtrącił Watson, ale jabym się nie wahał postawić przeciw panu prezesowi całą miesięczną gażę!

— Źle byś uczynił, młody człowieku, uśmiechnął się eks-mistrz świata. Chodziłbyś przez miesiąc z pustymi kieszeniami i medytował nad tym, że hazard jest złą metodą wzbogacania się.

— A proponować zakłady 10 : 1 w sytuacji z góry przegranej, czy to nie hazard?

— Owszem. Bez wątpienia. Lecz czynić to w sytuacji najzupełniej pewnej—to znaczy przeprowadzić korzystną transakcję.

— Siedem, osiem, dziewięć...

— Widzi pan, Stani jest już w pozycji, — ucieszył się Tunney. Jestem przekonany, że niedługo karta się obróci!

Bill Patrick, nieco już zgniewany, podszedł znowu do przeciwnika i zadał kilka krótkich, złośliwych ciosów. Stani nie upadł już jednak. Cofnął się tylko i głęboko zaczerpnął powietrza. Gdy Bill podskoczył, by go zacząć w dalszym ciągu okładać, Polak rozpaczliwie kontratakował. Ciosy jego były jednak w tym momencie zbyt słabe, by móc powstrzymać Patricka. Koniec rundy zastał więc Stani'ego przyciśniętego do sznurów w narożniku.

— Dobra jest, radował się O'Connor. Pieniądze moje nie są stracone...

— Zabiję go w tej rundzie, triumfującym głosem obwieścił Bill.

— Czy pan jeszcze trzyma zakład, zapytał z uśmiechem Tunney'a gruby reporter z „Chicago Tribune".

— Tak. Stani wygra ten mecz.

Na dźwięk gongu Bill zerwał się z krzesła i jednym susem okazał się przy przeciwniku. Ten zdążył jednak stanąć w pozycji i spotkał Patricka twardym directém.

— Ja cię nauczę, łobuzie, prawie krzyknął Bill i rzucił się ponownie do ataku.

Stani wyprostował się i rzucił w stronę przeciwnika gniewne spojrzenie. Jakby coś w sobie przetrawiał przez chwilkę. Potem poczerwieniał i silniej zacisnął pięści.

— Psia mać! — wyrwało mu się z ust.

Rozpoczęła się straszliwa obustronna młócka. Bill, rozwścieczony, walił prawą i lewą, nie patrząc już gdzie trafia. Stani, choć to i nieraz uginały się pod nim nogi, dziko parł naprzód, bijąc i bijąc bez przerwy.

Z górnej trybuny poleciały ponownie okrzyki:

— Dobrze, chłopie, nie daj się! Bij zdrajcę!

Gdy Stani'emu udał się piękny sierp, widownia powitała to żywiołową owacją.

— Precz ze sprzedawczykiem, rozległ się cienki kobiecy głos.

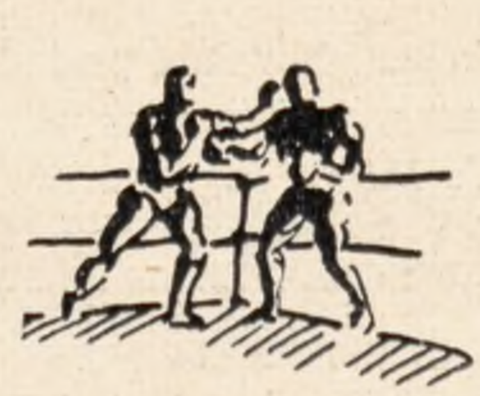
Bill aż zadrżał ze złości. Przeszyło mu mózg jakieś wspomnienie z przed wielu, wielu lat.

— Ty polska świnio... schwein, rzucił w stronę Battlinga.

Ten zacisnął tylko mocniej usta. Po chwili prawa jego pięść rozpłaszczyła się na nosie Billa Bryznęła krew.

— Ja ci pokażę, gdzie raki zimują, wycedził Stani głosem, pełnym ponurej jakiejś pasji.

(C. d. n.)



# TYDZIEŃ PO TYGODNIU

Wyścig motocyklowy **Grand Prix Polski,** rozegrany po raz pierwszy w Warszawie, w konkurencji międzynarodowej, był imprezą pod każdym względem **udaną.**

Liczny start czołowych jeźdźców zagranicznych z fabryczną ekipą DKW na czele, urozmaicona trasa wyścigu, **sprawna organizacja** i informacja na trasie, wzbudziły zrozumiałe zainteresowanie publiczności, która w liczbie około 15 tys. z zaciekawieniem obserwowała zaciętą walkę „stajni" niemieckiej z doskonałymi zawodnikami finlandzkimi, estońskimi, szwedzkimi i polskimi.

Niemcy, dosiadający **specjalnych** wyścigowych, starannie przyszykowanych maszyn, górowali bezapelacyjnie nad pozostałymi zawodnikami, mimo, że **Sirkia Penti** (Finl.), **Karlson** (Szw.), **Tomson** (Est.) oraz Polacy: **Baron, Mieloch, Lemański** i junior **Brendler** nie wiele ustępowali im techniką jazdy, a przewyższali niejednokrotnie brawurą.

Brawura ta była też powodem kilku wypadków, na szczęście nie groźnych (Karlson).

Z czołowych zawodników musieli się wycofać w czasie biegu z powodu defektów maszyn tacy kierowcy jak Mieloch, Bathelt, Weldeman (Est.), Nowotny (Niem.) i inni.

Już od startu na czoło wysunęli się Niemcy i prowadząc przez cały prawie czas, wygrali wszystkie kategorie, nie wyduszając zresztą całej szybkości ze swych maszyn.

Szczegółowe wyniki przedstawiają się następująco:

Klasa 500 ccm — 1) **Bungerz** (Niemcy) na DKW 2:24:09, **szybkość 96,5** km na godz., 2) **Sirkia Penti** (Finlandia) na Nortonie 2:26:39, 3) **Cerny** (Niemcy) na AJS 3:35:48, 4) **Lemański** (Unia Poznań) na BMW 3:39:28. Juniorzy: 1) **Brendler** (Union Touring Łódź) na Zündapp 2:30:45, szybkość 87 km na godz., 2) Broniatowski (Pabianickie TC) na BMW 2:34:02.

Klasa 350 ccm — 1) **Wünsche** (Niemcy) na DKW 3:29:51, 2) **Tomson** (Estonia) na NSU. Juniorzy — 1) Grochowski (MKZS) na Velocette, 2) Grzegorzewski (Syrena) na Velocette.



Petruschka, Wünsche, pośrodku Bungerz.

Klasa 250 ccm — 1) **Petruschka** (Niemcy) na DKW 2:30:08, 2) **Baron** (Bielsko) na DKW 2:42:34. Juniorzy — 1) **por. Nahorski** (CWBP) na Rudge 2:40:02, 2) Klimkowski (MKZS) na Rudge.

•

W Poznaniu rozegrany został mecz piłkarski pomiędzy **reprezentacją miasta,** a reprezentacją **Niemiec Środkowych,** zakończony zwycięstwem **Poznania 4 : 2 (3 : 2).**

Reprezentacja Poznania, pomimo osłabienia brakiem czołowych graczy (którzy grali w Rydze) potrafiła zrewanżować się Niemcom za zeszłoroczną porażkę, dzięki niezwykłej ambicji i woli zwycięstwa oraz doskonałej grze pomocy.

Bramki dla Poznania zdobyli Narożny 2, Szreier i Skrzypczak, a dla Niemców obie Lederer. •

Doroczny **wyścig kolarski do granicy niemieckiej** na trasie Pułtusk—Chorzele—Pułtusk, długości 180 klm, zakończył się zwycięstwem **Józefa Kapiaka (Jur)** w czasie 5 godz. 44 m, po zaciętej walce na finiszu z młodym kolarzem Ursusa — Bizoniem. Trzecie miejsce zdobył Ignaczak (Orkan), 4) Starzyński (Syrena), 5) Miller (Syrena).

•

Ostatnie **zawody lekkoatletyczne o mistrzostwo Polski — biegi sztafetowe,** zakończyły się nieoczekiwanym zwycięstwem zespołów **KS Orlęta.** Bohaterem tych zawodów był **Gąssowski,** który w obu sztafetach, otrzymując pałeczkę na dalekiej pozycji, potrafił wywalczyć zwycięstwo dla swoich barw.

Sztafetę 4 × 200 mtr wygrały Orlęta w czasie 1:32,9 przed AZS-em i Polonią; Sztafetę Szwedzką — Orlęta w 2:03,4 sek. przed Polonią i AZS-em.

•

Jesienna **jazda konkursowa Automobilklubu Polski,** składająca się z jazdy okrężnej, próby szybkości oraz próby zrywu i hamowania, odbyła się w ubiegłą niedzielę przy udziale 29 maszyn.

Według nieoficjalnych obliczeń w ogólnej klasyfikacji prowadzą p. p. **Polturak** i **Pronaszko,** przy czym różnica jest tak minimalna, że dopiero ścisłe obliczenia wykażą przewagę jednego z nich.

W czasie tych zawodów **p. Mazurek** na Chevrolecie, przejechał dystans 323 km z przeciętną szybkością **106 klm/godz.!**

•

Piłkarska **reprezentacja Niemiec** pokonała **Rumunię** w Bukareszcie w stosunku **4:1 (1:0).**

Bramki strzelili Pesser 2, Stroh i Schoen, a dla Rumunów Orza.

•

W finale tenisowych mistrzostw Ameryki **Budge** pokonał **Mako 6:3, 6:8, 6:2, 6:1.** W finale pań **Marble** wygrała z **Wynne 6:0, 6:3.**

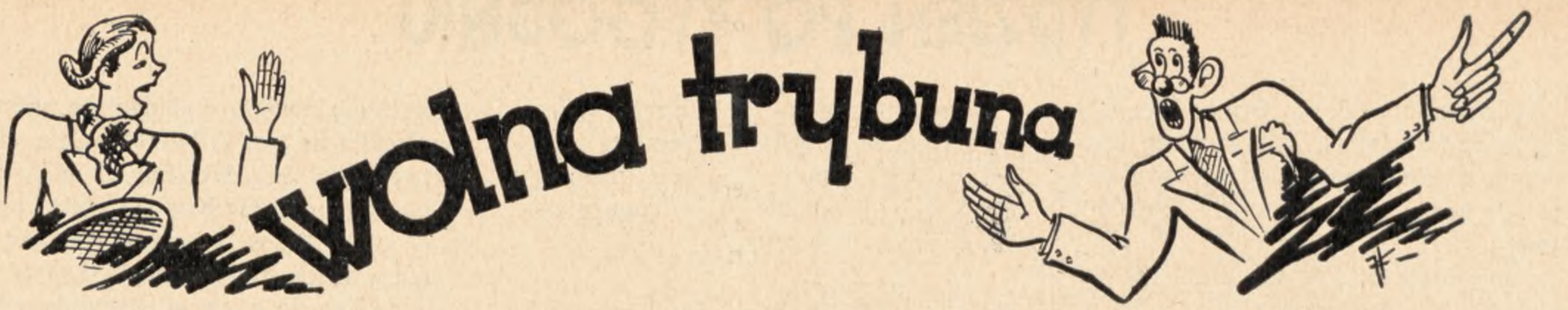
•



Reprezentacja Jugosławii.



Reprezentacja Polski.




## WĘGIER, POLAK — DWA BRATANKI.

O przyjaźni polsko-węgierskiej zbyteczne mówić. Jest to rzecz ogólnie znana. Tak dalece znana i tak już **naturalna,** że uwieczniona została nawet w przysłowiu:

„Węgier, Polak — dwa bratanki".

Nie ma dwóch innych narodów, których wzajemne stosunki na przestrzeni wieków byłyby poparte tyloma dowodami serdeczności, przyjaźni, szczerości i wzajemnego zaufania. Aliści ostatni wiek (wiek XX) wniósł pewne zgrzyty i braterska miłość dwóch wspólną kartą historii związanych narodów zaczyna tracić swój wzruszający co tkliwsze serca charakter.

I kto wie jak się to wszystko skończyć może!

Zaczęło się od p. Kankowszky'ego.

Znalazł się pewien Polak nazwiskiem Kankowski (w języku węgierskim „sz" czyta się jak „s", a „y" na końcu wyrazu jak „i"), który zapomniawszy języka „ojców swoich", uznał siebie za rodowitego Węgra i dla zadokumentowania swoiście pojętego „patriotyzmu" zaczął wyczyniać polskim bokserom przeróżne „figle".

A miał ku temu mnóstwo okazji, gdyż pełniąc funkcję generalnego sekretarza FIBA wyrobił sobie w tym środowisku opinię „starszego rebe", obdarzonego przywilejem autorytatywnego komentowania bokserskiego „talmudu".

Dużo upłynęło wody, wiele wysiłków i starań poszło na marne, zanim p. Kankowszky zrozumiał, że postępowanie jego jest co najmniej niewłaściwe i że węgierski boks nie tylko na tym **nie korzysta,** ale przeciwnie — **traci.**

•

Lekkoatletyczne spotkanie międzypaństwowe Polska—Węgry nie doszło do skutku.

Dlaczego?

Oto, co pisze prasa:

1) Warszawa—„W poniedziałek (12.IX. b. r.) w południe nadszedł list od Węgrów, z zawiadomieniem, **że gotowi są zrezygnować ze spotkania.** Ponieważ z lekkoatletami Węgier łączą nas wyjątkowo serdeczne stosunki, PZLA nie poprzestał na tym, ale zdecydował **sprawę zakończyć** po rozmowie telefonicznej, w której **po wzajemnych konwenansach,** zdecydowano się **mecz przełożyć** na rok przyszły.

Takie załatwienie sprawy **jest wygodne dla obu związków** (drużyna węgierska **również** jest obecnie **mocno** osłabiona)".

2) Budapeszt — **„Telefonował PZLA,** że **kilku** zawodników **jest chorych** a kilku **ma trudności** z uzyskaniem urlopów, wobec czego **wolałby,** aby mecz nie doszedł do skutku.

**Nie było się przy czym upierać ...... Szkoda, że odwołanie przyszło w ostatniej chwili. Zawodnicy byli bowiem w trakcie przygotowań, podobnie jak i Komitet organizacyjny.**

Zaaprobowaliśmy nawet poprzednie życzenie PZLA — **podróż** do Budapesztu **samolotem. Wszystko napróżno. Żałujemy bardzo ......... z niecierpliwością oczekiwaliśmy spotkania** z naszymi **starymi przyjaciółmi — Polakami".**

Stara miłość nie rdzewieje. Jakże wzruszającym jest to wyczucie wzajemnych (najskrytszych nawet) pragnień dwóch „bratanków". Jakaż podziwu godna **ustępliwość.**

Po prostu idylla!

Tylko ...... tylko jednak coś tu nie jest w porządku!

Dla naszego czytelnika nie wszystko jest tu zrozumiałe. Bo proszę. Węgier wysyła list z propozycją **przełożenia** meczu, Polak telefonuje, by wyjaśnić sprawę (co za Wersal!) i **przyjmuje propozycję. Idzie** bratankowi... **na rękę!**

Węgier twierdzi, że **Polak prosił o przełożenie meczu,** więc wobec przytoczonych okoliczności (choroba zawodników, trudności z urlopami itp.) **nie było się przy czym upierać!**

Doprawdy zadziwiające!... co za jednomyślność, co za zgoda. Ale dlaczego ta zgoda nie we wszystkim jest tak jednomyślna?

Kto pierwszy zaproponował przełożenie meczu?

•

Węgier, Polak — dwa bratanki! To prawda, o tym wszyscy dawno wiemy!

Ale ..... „bratankowie" mili, pogódźcie się, przyznajcie się dobrowolnie, szczerze, otwarcie, kto z was mówi .... ..... **prawdę!**

J. B.

---

# WYNALAZCA

Spotkałem go na zawodach lekkoatletycznych.

— Panie, mam wynalazek — szepnął mi tajemniczo.

— Czyżby? A z jakiej dziedziny?

— **Sportu!** Oczywiście sportu. Kompletny przewrót na tym polu! Nowa era w dziejach ludzkości! Zresztą słuchaj pan: ile wynosi polski rekord w skoku wzwyż?

— Zdaje mi się, że 196 centymetrów.

— A światowy?

— Coś niewiele ponad 2 metry.

— I to wszystko? — zapytał rozczarowany.

— Mało panu? Proszę, niech pan skoczy wyżej.

Mój rozmówca utkwił we mnie wzrok niczym bazyliszek. Z tryumfującej jego miny wywnioskowałem, że teraz dopiero nastąpi coś nieoczekiwanego.

— ...A ja się pana pytam... — cedził powoli — czy wie pan o tym, że **pchła** skacze równo 348 razy wyżej niż wynosi jej wzrost?

— Czy to są wyniki oficjalne?

— Niech się pan nie śmieje!

— Skądże, wcale się nie śmieję. Pytam się zupełnie poważnie, bo w tej dziedzinie jestem kompletnym ignorantem. Zresztą, przyzna pan, pchły to sport przeważnie... kobiecy... i do tego mało mający wspólnego z lekką atletyką. Raczej z myśliwstwem, polowaniem...

— Za chwilę przestanie pan kpić ze mnie, gdy wyłuszczę zasady, na jakich się opiera mój wynalazek.

— Proszę, słucham.

— Oto, jeżeli taka słaba pchła skacze 348 razy wyżej niż wynosi jej wzrost — rozumował wynalazca — to człowiek, którego przeciętny wzrost sięga do 175 cm, miałby się zadowolić głupimi 2-ma metrami w skoku wzwyż? **Człowiek, pan stworzenia?!**

— Ma pan rację. Ale cóż my obaj na to poradzimy?

— Właśnie, że poradzimy! Wystarczy poprostu przeprowadzić naukowe badania i sporządzić odpowiedni wyciąg z pchlich nóżek. Ekstrakt taki zastrzyknęłoby się następnie zawodnikowi, a ręczę panu, że skoczy wzwyż ponad 50 metrów! A w dal, licho go wie, może się aż na 150 metrach zatrzyma! Pomyśl pan sobie tylko co za przewrót w sporcie! Odpadną sprinty. Taki Ovens ze swoimi 10,2 na setkę, to żółw w porównaniu ze skoczkiem, który w ułamku jednej sekundy ten dystans odwali!

Wynalazca, rozpromieniony, marzył dalej:

— Co to będzie za frajda, jak sobie człowiek przyjdzie na mecz piłkarski i zobaczy jedenastkę takich skoczków. Wtedy i bramkarz, gdy mu się znudzi stać na swoim miejscu, skoczy sobie pod bramkę przeciwnika i sam osobiście goala zasunie swemu koledze po fachu... Powiadam panu, wtedy dopiero nastaną złote czasy dla sportu.

— Cudownie. Ale pozwoli pan, że mu ten piękny obrazek niedalekiej przyszłości nieco uzupełnię. Oto, wyobraźmy sobie wielkie zawody sportowe. Dziesiątki tysięcy publiczności czekają na widowni na start słynnego asa. Czekają. Niecierpliwią się. A as tymczasem siedzi sobie w najlepsze w szatni. Siedzi. Dostał już bęcwał zastrzyk z tych pańskich pchlich nóżek, gaz ma jak stu diabłów i...

— I co?

— I siedzi dalej. Ani mu się śni wyjść na boisko.

— Dlaczego?

— Ano, **nawala.** Mówi, że jest przetrenowany... że się nerwowo źle czuje... że... bo ja wiem, co tam jeszcze. Fakt, że mu się nie chce stanąć na starcie. Czy pański wynalazek przewiduje taką ewentualność? Co wtedy robić?

— No... sądzę... że... **skarbnik** klubu musiałby z nim pogadać...

— Otóż widzi pan, tu jest słaba strona pańskiego wynalazku. Powinien go pan jeszcze uzupełnić. Trzeba koniecznie wynaleźć taki zastrzyk, któryby zaaplikowany sportowcowi robił z niego momentalnie 100-procentowego **amatora.** Po takim zastrzyku delikwent na sam widok klubowych pieniędzy musiałby zaraz pienić się ze złości, dostawać napadów furii, gryźć i kopać każdego, ktoby mu się w drogę nawinął. Widzi pan, dopiero taki specyfik w połączeniu z pchlimi nóżkami spowodowałby nową erę w naszym sporcie. Niech więc się pan nad tym zastanowi. Trzeba koniecznie coś takiego wynaleźć.

— ...Spróbuję — powiedział niepewnym głosem mój wynalazca i odszedł, pogrążony w zadumie.

*

Wczoraj zatelefonował mi, że się wycofuje z wszelkich wynalazków w dziedzinie sportu. **Lou-Lou.**

# OŚLA ŁĄKA

Nie ulega wątpliwości, że sport polski zasłużył sobie, aby go traktować zupełnie serio. Zdarzają się jednak wypadki, kiedy sprawozdawcy sportowi nieświadomie, bądź w pogoni za sensacyjką, ośmieszają nasz sport i jego przedstawicieli.

Ostatnio ukazała się w prasie notatka, według której Jędrzejowska przegrała z miss Fabyan dlatego, **bo było ślisko, nie miała pantofli i grała w skarpetkach!..** Po co to pisać? Czy autor notatki sam wierzy w to, co napisał? A gdyby nawet było to prawdą, czy należy takimi tłumaczeniami **ośmieszać Jędrzejowską i nasz tenis wobec ludzi z miasta?**

Czy to pierwszy raz w życiu Jędrzejowska grała po deszczu i na śliskim korcie? Budge przegrał dwukrotnie z Bromwichem, ale nie tłumaczył się niedyspozycją żołądka, ani odmrożeniem lewego ucha! A my mamy zawsze w zapasie albo befsztyk Nojego na Olimpiadzie, albo nowe pantofle Fiałki w biegu przez Berlin, albo rozwiązane sznurowadło Kucharskiego w hali berlińskiej.

Zdarza się nieraz w klasie C, że klub ma tylko 10 par butów futbolowych i bramkarz, jako najmniej potrzebujący, gra w skarpetkach, ale nie do pomyślenia jest, aby np. na Olimpiadzie w Helsinkach Wilimowski miał grać w pidżamie, z powodu braku kostiumu!.. Po prostu — nie wypada ze względu na poziom i powagę imprezy! Wydaje się, że Forest-Hills zasługuje również na poważne traktowanie i jeżeli nawet Jędrzejowska przegrała na bosaka, to **czy warto takie niuanse przetelefonowywać** przez Atlantyk?..

I czy nie poważniej postąpiła sama Jędrzejowska, publikując, że miss Fabyan wygrała, bo grała lepiej!?.

Laikowi, obecnemu na ligowym meczu, wskazano pewnego gracza, jako najlepszego piłkarza na boisku.

Laik pilnie obserwował jego grę i wyciągnął logiczne wnioski. Zauważył, na przykład, że za nim biegało stale dwóch, trzech przeciwników z wyraźnym zamiarem okaleczenia go.

— Skoro jest najlepszy, to **dlaczego chcecie go unieszkodliwić?** — zapytał Laik. — Czy nie słuszniej byłoby likwidować złych graczy? Spartanie zrzucali ze skały ułomne dzieci, ale silne i zdrowe były ich dumą i przedmiotem troski! Widocznie wasze rozumowanie jest inne, **a racja P.Z.P.N-u nie jest racją poszczególnych klubów?!**

I jeszcze jedno stwierdził Laik. Foul, popełniony na „gwiazdorze“ był zemstą rozwścieczonego, trzykrotnie „kiwniętego“ dyletanta. Zdarza się, że byk, zwodzony zręcznie czerwoną płachtą toreadora, zawadzi go rogiem, tym niemniej toreador pozostaje ulubieńcem publiczności.

Dobrzy gracze nie kopią ludzi; **interesuje ich piłka i problem:** jak ominąć przeciwnika, aby dostać się pod jego bramkę?

Laik nazwał ich grę — grą dżentelmeńską; Spec nazywa to wyższą klasą gry! Stąd wywnioskował Laik, że najlepszym **lekiem na chamstwo na boisku jest podniesienie klasy gry.** A wtedy i sędziowie się poprawią i publiczność uspokoi...

Kiedy recenzent meczowy może pisać, co mu się żywnie podoba? Wtedy, gdy wie na pewno, że nikt z jego czytelników nie chodzi na mecze, albo, że nikt jego sprawozdań nie czyta.

Jednemu z tych dwóch rozumowań hołduje recenzent sportowy „Warszawskiego Dziennika Narodowego“ Nr 250, opisując mecz piłkarski „Ruch — Warszawianka“.

Zdaniem pana „dc“, Ruch grał w następującym składzie: Tatuś, **Nowakowski,** Majcherek, **Dziwisz,** Gemza, **Szczerbiński,** Kruk, **Wiechoczek,** Peterek, Wilimowski i Wodarz, — słowem p. „dc“ podaje aż 4 nazwiska zawodników, którzy w tym meczu nie brali udziału!.. Poza tym, umieszcza prawego łącznika Malcherka na beku, a beka Gemzę — na centrze pomocy!

Drogi Panie! Nie wymagany, aby odróżniał pan Wiechoczka od Malcherka (którego dowcipnie nazywa pan Majcherkiem), ani Broma od Ibroma, ale prosimy w takim razie o uczciwe przepisanie składu od kogoś, komu Pan ufa. Zresztą, sprzedawano na widowni dodatki ze składami obu drużyn; dlaczego oszczędza Pan 10 groszy, a **nie oszczędza pan swoich czytelników?**

I dlaczego Pan pisze, że rzut karny podyktowany był za kopnięcie i okulawienie Wilimowskiego, kiedy wszyscy widzieliśmy, że za to przewinienie **wykonano rzut wolny,** a karny miał miejsce ładnych parę minut później za foul na Peterku?!

Dlaczego Pan tak nie uważa na meczu? Przecież może się zdarzyć, że **ktoś przeczyta pańską recenzję.** Czy to przyjemnie znaleźć się pod wierzgającymi osiełkami?..

**J. Kempa.**

# FOOTBALL ŁOTEWSKI

Ryga, we wrześniu.

Zapowiedziana na niedzielę wizyta piłkarzy polskich budzi tu żywe zainteresowanie. Od długiego już czasu wiele miejsca poświęcono meczowi z Polską, łudząc się, że tym razem Warszawa wyśle najlepszy skład.

Wiadomość, że przeciw Łotwie wyznaczono znów drugi garnitur, zbiegła się z meldunkiem o porażce w Kamienicy, toteż nic dziwnego, że Łotysze szykują się do rewanżu za dotychczasowe niepowodzenia.

Kolonia polska, która chciałaby naturalnie przeżyć triumf własnych barw, jest wysoce zaniepokojona. Ocenia ona bowiem piłkarstwo łotewskie bardzo poważnie. Futbol stał się tutaj najpopularniejszym sportem, a Łotysze mają też do gry w piłkę wrodzone zdolności. Temperament, wytrzymałość i zrozumienie pracy zespołowej — oto atuty, cechujące piłkarzy miejscowych. Poza tym posiadają Łotysze od kilku lat dobrych trenerów, a reprezentacja ich znajduje się pod opieką wiedeńczyka Stazla.

Punkt ciężkości znajduje się wprawdzie w stolicy, niemniej jednak posiada również prowincja bardzo silne drużyny. Najlepszym dowodem tego to fakt, że obecny mistrz „Olimpia" wywodzi się z Libawy. Wiele do zawdzięczenia ma piłkarstwo łotewskie płk. Redlichsowi, który od lat kieruje jego nawą.

Wyniki z ostatnich czasów były następujące: zwycięstwo 2:1 nad rezerwową drużyną Czechosłowacji, remis 3:3 ze Szwecją w Sztokholmie, zwycięstwo 2:0 nad Estonią i Litwą. Wprawdzie w turnieju bałtyckim osiągnęła Łotwa z tymi sąsiadami tylko wyniki remisowe 1:1. Przyczyny tego szukać należy jednak nie w pogorszeniu się Łotyszów, lecz w postępach Litwinów a szczególnie Estończyków.

Łotysze grają nowoczesnym stylem i są zarówno w technice jak i taktyce poważnie zaawansowani. Forsują wprawdzie grę przyziemną, jednak nie jest ona znieprawiona hyperkombinacją. Środkowy pomocnik posuwa się za atakiem. Pozycję tę zajmuje dawny środkowy napadu Petersons, wyśmienity gracz, który drużynie nadaje piętno. Doskonali są obrońcy, obaj ciężcy i twardzi. Laumanis ma pewny wykop, jest jednak może nieco ociężały. Prawy Lauks posiada olbrzymią rutynę. Bebris w bramce przypomina wielkiego wiedeńczyka Hidena w najlepszej formie. Boczni pomocnicy rozumieją się dobrze ze środkowym, dysponują dobrą techniką.

W ataku najniebezpieczniejszą figurą jest prawy Reisters, który dobrze strzela. Vnags i Vestermanis na łącznikach są najlepszymi w swoim fachu na Łotwie.

W sumie młoda reprezentacja Polski nie będzie miała łatwego zadania.

(is).



### DO BYŁYCH I OBECNYCH CZŁONKÓW SEKCJI GIER SPORTOWYCH A. Z. S. — WARSZAWA.

Rok 1939 jest rokiem piętnastolecia istnienia sekcji piłki ręcznej AZS-u warszawskiego. Poważne osiągnięcia sportowe i organizacyjne członków i całej sekcji w tym czasokresie zmuszają wprost do godnego uczczenia roku jubileuszowego.

Jako jeden z członków założycieli wzywam wszystkich, Koleżanki i Kolegów, którzy kiedykolwiek należeli do sekcji, o zadeklarowanie chęci wzięcia udziału w jubileuszu oraz o podanie swoich adresów i w miarę możności zaznajomienie wszystkich zainteresowanych z treścią tej odezwy.

Listy należy kierować pod moim adresem: Warszawa, ul. Smolna 10—10.

**Romuald Wirszyłło.**

## HUMOR



— Mam dość wspinaczki! Po powrocie zaraz przeprowadzam się na parter!

**Redakcja, tel. 8-63-66 i Administracja, tel. 9-95-62. Warszawa, ul. Myśliwiecka 3**

Prenumerata roczna — 12 zł, dla klubów zrzeszonych w Zw. Pol. Zw. Sport. — 10 zł, kwartalna — 3 zł, miesięczna — 1 zł.
**Pocztowe konto rozrachunkowe Nr 118** **Konto P. K. O. 13680**

Ogłoszenia: przed tekstem 1/1 300 zł, 1/2 150 zł, 1/4 80 zł, 1/8 50 zł. Za tekstem 1/1 250 zł. 1/2 130 zł, 1/4 75 zł, 1/8 40 zł.

Redaktor przyjmuje od 13 — 15.

REDAKTOR: WIKTOR JUNOSZA-DĄBROWSKI WYDAWCA: „KULTURA FIZYCZNA" sp. z ogr. odp.

Zakł. Graf. „NASZA DRUKARNIA" W-wa, Sienna 15, tel. 675-93